

PAUza

Akademicka

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności
pauza.krakow.pl



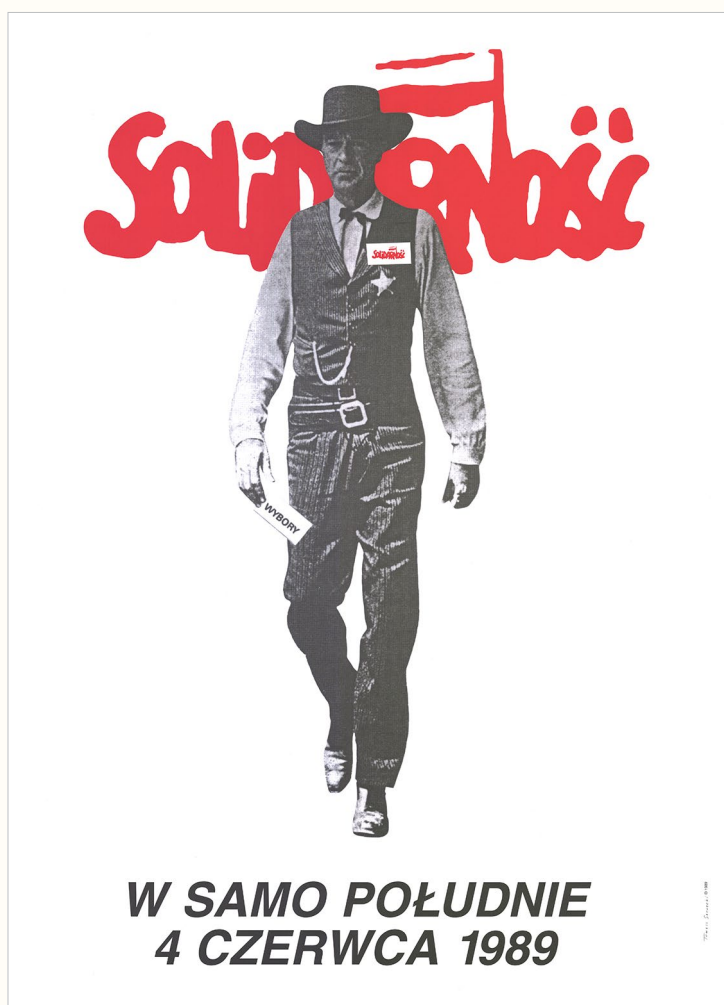
ISSN 1689-488X

Rok XI

Nr 473-474

Kraków, 30 maja-6 czerwca 2019

pau.krakow.pl



Fot. Z archiwum Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”

Tomasz Sarnecki, *W samo południe*, [<http://www.tomeksarnecki.pl/>]

TRZYDZIEŚCI LAT!

Dzisiejszy numer „PAUzy” poświęcamy w całości wielkiemu zwycięstwu w wyborach 4 czerwca 1989 roku, które zapoczątkowało przemiany ustrojowe, przynosząc nam w rezultacie wolność i niepodległość. Zamieszczamy w nim wspomnienia ludzi, którzy mogli obserwować i przeżywać te wydarzenia.

Mamy nadzieję, że w ten sposób przybliżamy, choćby w niewielkim stopniu, atmosferę tych historycznych dni, które odmieniły nasze życie.

Aby uniknąć ewentualnych nieporozumień, wyjaśniamy, że wybór autorów nie jest w żaden sposób reprezentatywny. Został dokonany klasyczną metodą krakowską: kontaktowaliśmy się po prostu ze znajomymi. Niestety, nie do wszystkich zdołaliśmy dotrzeć.

Dziękujemy Pani Monice Sarneckiej za udzielenie zgody na publikację plakatu „W samo południe” autorstwa jej śp. Męża oraz Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” za udostępnienie skanu tej grafiki.

Redakcja



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

Rzecznik

Z okazji okrągłej rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r. – redakcja „PAUzy” poprosiła o wspomnienie. Byłam wtedy rzecznikiem praw obywatelskich i akurat biegł drugi rok mojej kadencji. Myślę, że najlepiej będzie po prostu przypomnieć, czym się w tym czasie zajmował rzecznik, starający się o zaszczerpiecie w Polsce standardów państwa prawa.

W Rzeczypospolitej z 3–4 czerwca 1989 r. (te felietony popularyzujące prawo, tłumaczące czym są prawa człowieka, wyjaśniające misję rzecznika praw obywatelskich ukazywały się co dwa tygodnie) pisałam: „Państwo prawne – to państwo, gdzie prawo jest >>zrobione<< na serio i porządnie: gdzie jest uczciwie, rzetelnie, nieformalistycznie stosowane: gdzie urzędnicy są profesjonalistami.” I wyjaśniałam, czym prawo różni się od wybiórczo stosowanego przywileju. Bo prawo „to co innego niż uznanie, dar z łaski, cechujące się większą dowolnością ocen i brakiem pewności”. I z listu do premiera (marzec 1989 r.): „Prawo jest bardzo silnym czynnikiem państwowotwórczym, elementem budowy zaufania między władzą i obywatelem, ale żeby tak było, nie może być traktowane jako instrument doraźnej, koniunkturalnej gry, w której zwycięża ten, kto silniejszy”.

W przeddzień wyborów, 3 czerwca 1989 r., rzecznik wystąpił z rewizją nadzwyczajną od wyroku oddalającego powództwo o podwyższenie renty z tytułu dożywocia małżeństwu rolników – oddali oni swe gospodarstwo za rentę w 1977 r., i dwanaście lat później inflacja zjadła realną wartość świadczenia. Rewizję – dodajmy – uwzględniono.

Przed wyborami, 18 maja 1989 r., w wystąpieniu do Szefa Kancelarii Rady Państwa (RPO/R/21/89/I) rzecznik sygnalizował nieprawidłowość ograniczenia w ówczesnej ordynacji wyborczej konstytucyjnego prawa do udziału w wyborach wobec osób, które przebywają w więzieniach – ale nie zostały ukarane ograniczeniem praw obywatelskich. Ordynacja ówczesna po prostu nie przewidywała tworzenia odrębnych obwodów głosowania w zakładach karnych. Zatem „regulację zawartą we wspomnianej ordynacji należy uznać za niewłaściwą z tego względu, że przepisem o charakterze techniczno-organizacyjnym reguluje – nieprawidłowo – zasadniczą kwestię realizacji prawa obywatelskiego”.

W czerwcu 1989 r. o wadliwym stosowaniu prawa wykroczeń: w sprawie RPO 18361/88/II Ryszarda R. ukarano za „posiadanie w celu rozpowszechniania” druków bezdebitowych, co potraktowano jako usiłowanie (a wtedy takie usiłowanie było karalne). Rzecznik, zaskarżając to orzeczenie, zauważył, że „posiadanie” to nawet nie jest

usiłowaniem (tylko co najwyżej przygotowaniem, a to jest niekaralne. Jedną z podstawowych zasad prawa jest, że nie wolno karać za coś, czego ustawa nie traktuje jako czynu karalnego). Teraz nie ma co prawdą pojęcia druków bezdebitowych. No ale np. ostatnio zatrzymano Elżbietę P. za posiadanie nalepek z Częstochowską w tęczowej aureoli. I nie chodziło o nalepianie w nieprzystojnych miejscach, nie – chodziło o posiadanie. Ciekawam, jak teraz policja to zakwalifikuje: usiłowanie obrazy uczuć religijnych? A może przygotowanie do wykroczenia, jakim jest niszczenie cudzego mienia? Historia kołem się toczy. Teraz na szczęście do odwołania od decyzji policji służy droga sądowa. Postęp jest więc widoczny.

Mniej więcej z okresu wyborów w 1989 r. pochodzi obszerny raport (BRPO/DG/77/89) o stopniu przestrzegania praw obywatelskich osób osadzonych w niektórych aresztach Milicji Obywatelskiej, uzupełniony informacjami o wizytacjach w wydzielonych oddziałach w niektórych aresztach śledczych, poddanych wyłącznej gestii MSW (co utrudniało kontrolę). Stwierdzono szereg nieprawidłowości i postulowano likwidację tych „jednostek pod szczególnym nadzorem”. Odnotowano próby ograniczenia rzecznikowi dostępu do osadzonych i możliwości przeprowadzenia kontroli. Ta niechęć ujawniania tego, co naprawdę się dzieje w aresztach – trwa do dziś. Wie o tym obecny rzecznik, Adam Bodnar, który bije na alarm z powodu przetrzymywania w zakładach karnych osób ewidentnie upośledzonych, które nigdy nie powinny tam się znaleźć. Nic dziwnego, że będące obecnie na wyposażeniu policji kamery, rejestrujące przebieg interwencji (w 1989 r. oczywiście takich nowinek nie było) – jakoś dziwnie wyczerpują swoje baterie wtedy, gdy dochodzi do czegoś bulwersującego...

Na koniec ciekawostka: 1 czerwca 1989 r., sprawa RPO/13990/88/I, Michał G., który sygnalizował konieczność interwencji na rzecz umożliwienia powrotu z zagranicy opozycjoniście (chodziło o obawę, że nie zostanie wpuszczony), otrzymał taką odpowiedź: „Potwierdzam otrzymanie Pana listu z 5 maja 1988 r. Według uzyskanych informacji, p. Kornel M. może w każdej chwili powrócić do kraju. Jego wyjazd z Polski nastąpił w wyniku porozumienia zawartego przez przedstawicieli organów państwa z przedstawicielami innych struktur społecznych i za zgodą zainteresowanego. Rzecznik Praw Obywatelskich jest w pełni świadom faktu, że wprowadzanie de facto w jakiegokolwiek formie banicji byłoby naruszeniem prawa i jest oczywiste, że podjąłby wówczas stosowane działania przewidziane ustawą o Rzeczniku Praw Obywatelskich”.

EWA ŁĘTOWSKA

Świt

To był właściwie 5 czerwca, bo już świtało, kiedy wyszłam z Komisji Wyborczej po policzeniu głosów. Byliśmy oszołomieni wynikami wyborów! Popatrzyłam w niebo, był różowy wschód słońca. Powiedziałam do siebie – TO WSCHÓD MOJEJ OJCZYZNY.

ANNA LUTOSŁAWSKA-JAWORSKA

Z kim ja będę teraz rozmawiał?

Pod takim tytułem ukazała się w prasie codziennej relacja z konferencji prasowej, jaką w dniu 9 czerwca 1989 r. zwołał w Gdańsku Lech Wałęsa, przewodniczący Komitetu Obywatelskiego, nazajutrz po ogłoszeniu wyników I tury wyborów z 4 czerwca 1989. Dzisiaj, z naszą wiedzą o Wałęsie, można byłoby słowa te odczytywać jako swoiste, żartobliwe podsumowanie wydarzenia, jakim była prawdziwa klęska obozu rządowego w I turze wyborów parlamentarnych: upadek tzw. listy krajowej, a przede wszystkim pełny sukces „Solidarności” w wyborach do Senatu. Do dziś pamiętam jednak, że ani Wałęsie, ani nam, zwyczajnym obywatelom PRL-u, w tych dniach wcale nie było do śmiechu, nikt bowiem nie wiedział, jak rzeczywiście zareagują na owe wyniki komuniści (czy raczej – PZPR-owcy). Czy przyjmą klęskę do wiadomości, czy też dokonają jakiegoś irracjonalnego odwrotu. Bo wszak zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wypracowany w ciągu „okrągłościowych” rozmów polityczny kompromis między ludźmi partii oraz „Solidarności” był osadzony na bardzo kruchych podstawach. W wyniku częściowo wolnych wyborów poległo wystawionych na liście krajowej 33 spośród 35 kandydatów „rządowych” – z premierem Mieczysławem Rakowskim oraz generałami: Czesławem Kiszczakiem i Florianem Siwickim i ludźmi pokroju Jaremy Maciszewskiego czy Alfreda Miodowicza na czele. Pamiętam zatem dobrze, że wraz kolegami i przyjaciółmi radowaliśmy się z odniesionego zwycięstwa, ale zarazem wszyscy (przynajmniej w kręgu moich przyjaciół i kolegów) zastanawialiśmy się w wielkiej

niepewności nad konsekwencjami owego zwycięstwa: czy zraniona „bestia” nie porzuci całego eksperymentu z częściowo wolnymi wyborami i nie powróci do polityki „jednej przewodniej siły narodu”, która by nas powiodła z powrotem „ku szczęśliwości” pod opieką Wielkiego Brata. Pamiętam, że pocieszaliśmy się wszyscy, że przecież krok taki jest chyba niemożliwy, bo przecież mamy swojego Opiekuna w Watykanie (ale ktoś zwrócił uwagę na to, że Jan Paweł II właśnie w tych dniach przebywał z oficjalną wizytą w Norwegii, a co więcej – wybrał się nawet za koło podbiegunowe). Nie wiedzieliśmy, czy dostatecznie wesprą nas Amerykanie, którzy musieli uporać się z nową sytuacją w Iranie, od kilku dni bardzo uroczyste żegnającym swojego ubóstwianego przywódcę, ajatollaha Chomeiniego. Z pewną ulgą spoglądaliśmy na Wielkiego Brata, który też był wstrząsany od środka (właśnie w tych dniach Michaił Gorbaczow przeprowadził na Zjeździe Deputowanych Ludowych uchwałę o jawności (*glasnosti*) w życiu publicznym). W „wielkiej polityce” przybył nadto nowy element – w Pekinie, na placu Tiananmen doszło właśnie w dniu 4 czerwca, czyli w dniu naszych wyborów, do masakry kilku tysięcy studentów. To dlatego z pełną powagą traktowaliśmy słowa Wałęsy, który w czasie wzmiankowanej konferencji prasowej, odnosząc się do wyników I tury wyborów i klęski obozu rządowego, mówił: „Ci, którzy nie przeszli w wyborach, to są ludzie, którzy postawili na reformy. Z kim ja teraz będę rozmawiał, skoro z nimi rozumieliśmy się przy Okrągłym Stole”.

FRANCISZEK ZIEJKA

Mapa i terytorium

Dlaczego z dniem 1 maja 2004 roku nie kojarzy mi się żadne konkretne wspomnienie? Pamiętam oczywiście, że wtedy z uczuciem szczęścia – bo oto znowu jestem na swoim miejscu – mieszało się niedowierzanie, że to w ogóle mogło się stać. Ale żadnego konkretnego obrazu z tym nie wiążę. Natomiast ilekroć myślę o tamtym dniu, staje mi przed oczyma obraz z wcześniejszego okresu. Czerwcowy ranek 1989 roku. Przed lokalem wyborczym stoi kobieta i czyta wywieszane na drzwiach wyniki wyborów. Czyta i płacze. Pamiętam wyraźnie: szarzielony, sportowy kostium, średnio przystrzyżone, jasne włosy, głowa lekko uniesiona w stronę ogłoszenia. I łyż radości. Te dwie daty łączę ze sobą. Druga była naturalną konsekwencją pierwszej.

W czasach komuny krążył dowcip:

Pan Jezus ukazał się Janowi Pawłowi II i powiedział:

– W nagrodę za twoje zasługi spełnię jedno Twoje życzenie.

Jan Paweł natychmiast skorzystał z okazji:

– Spraw, aby Rosjanie wyszli z Polski.

– Jak mam to uczynić: w naturalny czy nadprzyrodzony sposób?

Jan Paweł:

– Zaczniemy może od naturalnego.

Na to Pan Jezus:

– Dobrze, pošlę Archaniola Michała, który ognistym mieczem wygoni Rosjan.

Jan Paweł nieco zdziwiony:

– W takim razie, jaki byłby nadprzyrodzony sposób?

– A to by było, gdyby sobie sami poszli.

Jak pamiętamy, został jednak zastosowany nadprzyrodzony sposób – poszli sobie. Ta druga data – 1 maja 2004 roku – nie jest nowym nadprzyrodzonym cudem, jest dalszym ciągiem tamtego.

Gdzieś czytałem, że gdy w brytyjskim parlamencie trwała burzliwa dyskusja, dotycząca jakiejś skomplikowanej politycznej sprawy (o ile pamiętam, było to w okresie wojen z Burami), jeden z posłów doradził, że w takiej sytuacji warto przyjrzeć się mapie świata i zobaczyć Wyspy Brytyjskie w odpowiedniej perspektywie. Mądra rada i nie tylko dla Brytyjczyków (choć warto, by i oni sobie o niej przypomnieli). Nawet szybkie spojrzenie na mapę przekonuje, że tylko silna i zjednoczona Europa może zagwarantować, żeby nie trzeba było w przyszłości modlić się o nadprzyrodzone cuda.

Ks. MICHAŁ HELLER

Kiedy w Polsce będzie dobrze?

Podczas mojej kampanii wyborczej odbyłem sto spotkań wyborczych w okresie od 3 maja do 3 czerwca 1989 roku, byłem w Krakowie, w Nowej Hucie, w przedsiębiorstwach, na uczelniach, w szkołach, na ulicach, na mszach w miasteczkach i wioskach wokół Krakowa, zwiedzałem gospodarstwa rolne, nawet oborę, bywałem na targowiskach, byłem zapraszany do domów, od Radziem na północy aż po Nowe Brzesko na wschodzie, od Nowej Huty po Wiśniową na południu.

Było to prawdopodobnie w Koniuszy 21 maja 1989 roku, ale tego nie jestem pewien. Po wystąpieniu Mietka Gila zabrałem głos ja. Koncentrowałem się głównie na sprawach gospodarczych oraz potrzebnej przebudowy polskiego rolnictwa i wsi.

W pewnym momencie mojego wystąpienia jeden z uczestników spotkania mówi gromko: „Panie, dobrze pan mówisz, ale powiedz pan, kiedy w Polsce będzie dobrze?”.

Ja nieco skonfundowany taki prostym, wydawałoby się, pytaniem, po chwili zastanowienia odpowiedziałem: „Jeśli będziemy mieli dobre koncepcje, pomysły, będziemy bardzo solidnie pracować, mocno angażować się w sprawy kraju, otrzymamy pomoc z zagranicy i będziemy mieli trochę szczęścia, to..., jak dobrze pójdzie, za jakieś 15–20 lat dogonimy najbiedniejsza kraje Europy Zachodniej, takie jak Grecja czy Portugalia”. Wydawało mi się, że odpowiedziałam optymistycznie, ale realistycznie, co było dla mnie ogromnie ważne, aby nie składać absurdalnych obietnic. Tymczasem ten pytający rolnik skwitował to słowami: „Panie, kto by tyle czasu czekał!”.

Takie były wówczas wielkie oczekiwania.



Załączam zdjęcie z tego spotkania, autorstwa Jacka Wcisło, który towarzyszył M. Gilowi, a przy okazji i mnie, podczas kampanii wyborczej i fotografował.

EDWARD E. NOWAK

Nie pomogła propaganda

Samego niedzielnego głosowania nie pamiętam. Pewno zaraz po głosowaniu przyjechaliśmy do Zakopanego, gdzie zaczynała się Szkoła Fizyki Teoretycznej. Natomiast całkiem dobrze pamiętam dzień po głosowaniu.



Wykupiliśmy rano wszystkie gazety i cały parter domu wczasowego, gdzie była Szkoła, był zavalony tymi gazetami z wynikami wyborów. Oglądaliśmy te wyniki

z wypiekami na twarzy i rozmawialiśmy o nich, i powtarzaliśmy ciągle to samo pytanie: „i co teraz będzie dalej?”.

Wyniki były zaskakujące. Kilka lat propagandy reżimowej zrobiło swoje, ciągle wysłuchiwałem od ludzi z ulicy lub od znajomych znajomych, że wprowadzenie stanu wojennego było usprawiedliwione, bo „ekstremizm solidarnościowy”, bo groźba inwazji sowieckiej etc.

Cały ten chłam propagandowy, który TV i prasa sączyły dzień i noc.

Tak więc oczekiwań wobec tych częściowo wolnych wyborów nie miałem zbyt wygórowanych. W tamtym momencie, parę miesięcy przed upadkiem muru berlińskiego, system sowiecki się kruszył, ale myśleliśmy, że jego upadek to będzie dłuuuugi proces. Jedyne, co mieliśmy zagwarantowane, to dalszy upadek gospodarczy i cywilizacyjny. A tu niespodzianka! Coś tak jakby się naprawdę ruszyło! Potem był ten okres niepewności, „co z tego wyniknie?”, który trwał do czasu, gdy Mazowiecki został premierem.

Ten okres gorączkowego oczekiwania trwał do drugiej tury wyborów i też wtedy byliśmy w Zakopanem, ale oprócz samej atmosfery to niewiele pamiętam:

STANISŁAW JADACH

Wspomnienia pesymisty

- Najpierw nie wierzyłem, że Okrągły Stół dojdzie do skutku;
- Potem nie wierzyłem, że wybory mogą coś istotnego zmienić;
- Wreszcie nie wierzyłem, że partia zaakceptuje wyniki.

Mimo tych czarnych myśli nie miałem najmniej-
szych wątpliwości, że trzeba skorzystać z okazji i zade-
monstrować, co naprawdę myślimy o ówczesnej władzy.
Dlatego zgodziłem się wziąć udział w Małopolskim Komite-
cie Obywatelskim jako delegat Solidarności UJ. Prace
Komitetu są dobrze udokumentowane i nie ma co tego
powtarzać.

Opiszę więc tylko dwa drobne osobiste doświadczenia.

*

Podczas jednego z wieców wyborczych w wypeł-
nionej Dużej Auli Instytutu Fizyki UJ omawialiśmy przy-
gotowania do wyborów: rozważaliśmy strategię i taktykę
wyborczą, zgromadzeni wskazywali potencjalnych kan-
dydatów, angażowano chętnych do pracy w komisjach.
Szczególnie zastanawiano się, jak uniknąć fałszerstw
wyborczych, których wszyscy bardzo się obawialiśmy.

W czasie tych rozważań jeden z zebranych wygłosił
płomienny apel, wzywający do bojkotu wyborów: To są

oszuści, sfałszują wybory tak jak w 1947, a potem wmówią
światu, że naród ich popiera. Nie dajmy się wciągnąć
w pułapkę!

Sala zamarta, widać było, że ludzie są skonsternowani.
W końcu lata doświadczeń przekonały nas, że ten człowiek
ma rację: To są oszuści, którzy nie cofną się przed niczym,
aby nie oddać władzy.

Wtedy porwałem mikrofon i bez namysłu wrzasnąłem:
Tak, to są oszuści; Tak, nie można im wierzyć; Tak, będą
fałszować i kłamać. ALE MY I TAK WYGRAMY! Wy-
buch entuzjazmu mnie zaskoczył. Widać było, jak bardzo
wszyscy potrzebowaliśmy NADZIEI.

**

W dniu wyborów rozpoczynała się w Zakopanem
doroczna międzynarodowa Krakowska Szkoła Fizyki
Teoretycznej (termin był ustalony długo przed ogłosze-
niem daty wyborów). Wobec tego, po oddaniu głosów
w Krakowie, pojechaliśmy do Zakopanego, gdzie ner-
wowo czekaliśmy na wyniki. Jak wiadomo, przeszły
wszelkie oczekiwania. Oczywiście wielka radość, po-
dobnie jak w całej Polsce. Mnie jednak szczególnie
uderzył entuzjazm okazany przez znakomitego fizyka
z Leningradu, Jewgienija Lewina, który dosłownie szalał
z radości. Wtedy właśnie zobaczyłem na własne oczy
i zrozumiałem, że to wspaniałe zwycięstwo ma znaczenie
nie tylko dla nas.

ANDRZEJ BIAŁAS

Niezapomniany rok 1989...

Można by ten rok nazwać rokiem „cudów”, tyle że
w naszej historii było ich już dostatecznie dużo... Ale kto
by się spodziewał, że po ponurych latach stanu wojen-
nego tak wiele i tak szybko się wydarzy!... Przez kilka
lat towarzyszyły nam puste półki, bibuła, sporadyczne
protesty, rozproszone strajki..., część niepokornych wy-
jechała...; pod koniec 1988 roku powstał Komitet Obywa-
telski przy Lechu Wałęsie...

A w marcu 1989 rozpoczął obrady Okrągły Stół,
który zrodził nadzieje.... Pamiętam, z jakim emocjami na-
słuchiwałem radiowych wiadomości o tym, jak przebiegają
rozmowy... i w końcu ta oczekiwana: „dogadali się!...”.
Między innymi ustalono liczbę wakatów w Sejmie (161)
i Senacie (100), o które mogła ubiegać się opozycja,
oraz termin wyborów: 4 czerwca 1989! Tyle, że brak było
pewności, „jak to będzie?”, czy wybory będą wiarygodne,
uczciwe, bez oszustw... Odrodziła się „Solidarność” –
niby stara, ale inna..., reaktywowano tygodnik „Solidar-
ność”..., powstała „Gazeta Wyborcza”... Wsparcia udzielił
dzielny szeryf Gary Cooper, który opanował ulice miast
i miasteczek...; i pojawiły się setki plakatów z działaczami
opozycji bądź „Solidarności”, każdy z Lechem u boku...
Wątpliwości spowodowały, że w miastach i na prowincji
powoływano „mężów” i „niewiasty” zaufania, których za-
daniem było sprawdzanie, czy nie ma niedozwolonego
agitowania bądź utrudnień przy oddawaniu głosów, a także

ocenianie liczby głosujących... – zdarzało się, że „zaufani”,
nie wiedząc kto zacz, koso patrzyli na innych „zaufanych”...

Wyniki wyborów były porażające: w dwuetapowych
wyborach Komitet Obywatelski uzyskał wszystko, 161
mandatów do Sejmu i 99 na 100 miejsc w Senacie! –
Władza i jej poplecznicy zdali sobie sprawę, że czas na
zmiany... 17 sierpnia 1989 roku prezes Zjednoczonego
Stronnictwa Ludowego, przewodniczący Solidarności
oraz przewodniczący Stronnictwa Demokratycznego
zawarli porozumienie o wielkiej koalicji Solidarności, ZSL
i SD – tego triumwiratu miałem okazję pogratulować
Lechowi Wałęsie osobiście w trakcie przelotnego spo-
tkania... Dzięki zawarciu tego porozumienia powołano
pierwszy niekomunistyczny rząd w Polsce po II wojnie
światowej z Tadeuszem Mazowieckim na czele.

W Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej rozpo-
częły się wielkie reformy i przemiany ustrojowe. Po-
rozumienie i koalicja Solidarności, ZSL i SD zapoczątko-
wały wielką pokojową rewolucję. Wydarzenia w Polsce
w 1989 roku wywołały Jesień Ludów w Europie. Zapo-
czątkowały upadek systemu komunistycznego w krajach
Europy Środkowo-Wschodniej, obalenie muru berlińskiego
i zjednoczenie Niemiec.

**O roku ów, nam nie wolno tego zapomnieć,
a 4 czerwca niech się święci na wieki!**

MICHAŁ TURAŁA

Jak Solidarność do Czubrowic zawitała

W wybory czerwcowe 1989 wciągnęli nas przyjaciele, od pewnego czasu uczestniczący w kampanii wyborczej, a raczej, jak twierdzili, w kampanii uświadamiającej. Bo oni nie działali na terenie Krakowa, lecz jeździli po ościennych gminach, gdzie z pomocą miejscowego księdza oraz zaprzyjaźnionych artystów tłumaczyli w przystępnej atmosferze, o co tym razem chodzi.

Mojej żonie i mnie przydzielono role damy oraz męża zaufania. Reprezentowaliśmy Romana Ciesielskiego i Jerzego Zdradę, kandydatów Komitetu Obywatelskiego. A miejscem, gdzie mieliśmy obserwować wybory, była mała wioska w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, Czubrowice. Zjawiliśmy się tam o świcie 4 czerwca. Nie byliśmy mile widziani. Drzwi do szkoły podstawowej, gdzie znajdował się lokal wyborczy, były zamknięte. Długo trwały negocjacje, by jednak je otworzyć, w końcu pomogły nasze oficjalne upoważnienia, a zwłaszcza pieczętki na nich. Wpuściła nas przewodnicząca Komisji Wyborczej, a zarazem dyrektorka szkoły oraz sekretarz miejscowej organizacji partyjnej. Próby nawiązania rozmowy były przyjmowane chłodno. Staralem się to zrozumieć, w końcu oni wszyscy się znali, a my byliśmy „nasłani”.

O godzinie szóstej pojawili się pierwsi wyborcy. Mimo że też znajomi komisji wyborczej, zachowywali się sztywno, jak w urzędzie czy kościele. Nie wiem, czy obecność nas, obcych, nie miała na to wpływu. A może już wtedy czuć było wyjątkowość wydarzenia. Siedziałem na wyznaczonym miejscu w rogu sali i w krótkowym zeszycie zaznaczałem kreseczką każdego wchodzącego, z kreseczek budowałem klocki i z godziny na godzinę rósł na kartce wykres frekwencji. To właśnie moje notatki powoli przełamywały nieufność, członkowie komisji co chwilę z ciekawością zerkali w stronę zeszytu, a ja chętnie opowiadałem: o tu taka górką, czy to koniec mszy, no tak, ale zobaczy Pan, jak proboszcz skończy sumę, i rzeczywiście, widzicie ten słup na wykresie, to po sumie? No jasne, że po sumie, suma się skończyła.

Po południu było spokojniej, czasem pojedyncze osoby wpadały, głównie młodzi. Więc rozgadaliśmy się. O wszystkim i o niczym, w każdym razie ani słowa o wy-

borach czy polityce. Zrobiło się całkiem miło, pani przewodnicząca opowiadała o swoich uczniach, jak uciekają z Czubrowic, gdzie się tylko da, wkrótce zostaną sami starzy. Nadeszła pora zamknięcia lokalu wyborczego. I zaczęły się schody. My jako obserwatorzy mieliśmy przykazane trzymać się z daleka od urny i kart wyborczych. Ale członkowie komisji nie mieli pojęcia, co robić. Otworzyli urnę, wywalili część głosów na stół i bezradnie patrzyli na wielki stos kart wyborczych. Przewodnicząca znalazła jakieś kartki do notowania wyników, ale co dalej? Rozpoczęła się dyskusja, kto co ma robić, kto podaje karty, co z tymi policzonymi, który głos ważny, czy przekreślenie całego nazwiska, a może wystarczy jedną literę, bo pamiętać należy, że osobno była na karcie partyjna lista krajowa i często przekreślano ją jednym wielkim krzyżem. Gdy w końcu ruszyło liczenie, wyglądało to tak nieporadnie, że zanosilo się na wielodniową, mozolną pracę. Wtedy zdecydowaliśmy się odezwać. Zapytałem, czy możemy zasugerować inną metodę organizacji liczenia. Nie było protestów, rozsadziliśmy więc członków komisji w grupach, jedna osoba pod kontrolą drugiej czytała na głos nazwiska nieskreślonych, a pozostałe stawiały znak przy wyczytanej osobie. I zaczęło się: Ciesielski, Ciesielski, Ciesielski, a potem Zdrada, Zdrada, Zdrada, aż za oknem, ktoś z podsłuchujących nasze liczenie zakrzyknął: „Jaka k.... zdrada???”. Było wesoło. Do końca żartowaliśmy jak starzy znajomi. Skończyliśmy po północy, głosy w kopertach opieczetowano, zaklejono, podpisaliśmy się. W tej małej wsi wyniki były druzgocące dla rządzących. Czuć było napięcie, niedowierzanie, ale i powagę chwili. Zanim każdy ruszył w swoją stronę, wyściskaliśmy się serdecznie na pożegnanie, może jeszcze nie jak bliscy znajomi, ale jak solidarni strażnicy wspólnej sprawy.

Dwa tygodnie później pojechaliśmy Czubrowic prywatnie, zagłosować w drugiej turze wyborów. Przyjęto nas jak starych przyjaciół, uściskom dłoni nie było końca, przyjeżdżajcie kiedy tylko możecie, nie zapomnijcie o nas, no, ale wy o nas też, aleśmy dali popalić, będzie dobrze, będzie dobrze, zobaczycie. Do Czubrowic zawitała Solidarność. Ta piękna.

JERZY SZWED

4 czerwca 1989

Noc powyborczą 4 czerwca pamiętam bardziej wyraziście niż poprzedzający ją dzień, który spędziłem jako wiceprzewodniczący obwodowej komisji wyborczej przy ul. Dobczyckiej, delegowany do jej składu przez NSZZ „Solidarność”. Po formalnym zakończeniu głosowania, które odbyło się bez jakichkolwiek zakłóceń, przystąpiliśmy do liczenia głosów, chyba nawet dwukrot-

nego, przy rosnącej konsternacji (nie powiem, że całkiem radosnej) niektórych członków komisji. Nie było tam jednak między nami śladu tej diabelskiej wrogości, którą zainfekowano współczesny nam dyskurs polityczny. Do domu wróciłem, kiedy świtało, i to właśnie światło tamtego poranka zapamiętałem jako swego rodzaju odbłask „jutrenki swobody”.

ANDRZEJ BOROWSKI

Lista krajowa

Wiosną 1989 r. byłem studentem trzeciego roku matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, średnio zaangażowanym w politykę. Byłem członkiem NZS, rok wcześniej uczestniczyłem w strajku okupacyjnym na miasteczku studenckim (Jerzy Urban, ówczesny rzecznik rządu, nazwał go „samoaresztem”). Z drugiej strony muszę przyznać, że dość odstręczał mnie radykalizm większości działaczy NZS na UJ w tym czasie, wielu z nich było członkami organizacji Wolność i Pokój, aktywni byli też anarchiści. W UJ-owskim NZS – jako osoba popierająca rozmowy z komunistycznym rządem przy Okrągłym Stole – byłem w zdecydowanej mniejszości. Gdy zapadła decyzja o wyborach czerwcowych, zgłosiłem się jako ochotnik do biura Komitetu Obywatelskiego na przy Szewskiej i w czasie kampanii przez kilka tygodni obsługiwałem tam kserograf. Jedną z osób, które pamiętam z tego biura, była Katarzyna Kolenda, dziś znana dziennikarka TVN.

Tamte wybory były naprawdę wielkim przełomem. To prawda, że tylko 161 z 460 miejsc w Sejmie zostało obsadzonych w sposób całkowicie demokratyczny. Trzeba jednak dodać, że całkowicie wolne były wybory do Senatu, natomiast – poza 35 mandatami wybieranymi z listy krajowej, na pozostałe 264 miejsca mogli kandydować członkowie sankcjonowanych w PRL partii, niekoniecznie rekomendowani przez ich kierownictwa. W efekcie były one często również konkurencyjne, to, jacy ludzie zostali z nich wybrani, okazało się później zresztą nie bez znaczenia przy tworzeniu rządu Mazowieckiego i reformach Balcerowicza. Głosowanie 4 czerwca (i druga tura dwa tygodnie później) było więc w istocie bardziej demokratyczne niż tylko te mityczne 35%; najważniejszy był jednak fakt, że społeczeństwo po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat miało rzeczywisty wybór.

Oczywiście kluczowe było zapewnienie uczciwości głosowania. Bardzo zależało mi, by zostać członkiem komisji wyborczej z ramienia Solidarności. Okazało się, że do tego potrzebny jest list rekomendacyjny od Komitetu Obywatelskiego. Uzyskałem go dzięki poparciu profesora Andrzeja Pelczara z naszego wydziału, członka

Komitetu, którego dość dobrze znałem (obaj zresztą byliśmy absolwentami V LO w Gdańsku). I tak zostałem członkiem komisji wyborczej, której siedziba mieściła się w Biprostalu (tam zresztą życie rzuciło mnie ponownie 26 lat później na pewien czas). Z głosowania 4 czerwca pamiętam przede wszystkim napływające informacje ze świata o masakrze na placu Tiananmen oraz o pogrzebie Chomeiniego (które to wydarzenia rzeczywiście „przykryły” polskie wybory w światowych mediach) oraz nocne liczenie głosów. Przy czym z wszystkim, poza listą krajową, poradziłem sobie mniej więcej w godzinę, nad nią natomiast siedzieliśmy do 7 rano. Były trzy rodzaje głosów na listę krajową (mniej więcej w podobnej liczbie): bez skreśleń, z całą listą skreśloną oraz ze skreśloną częścią z 35 kandydatów. Oczywiście ta ostatnia grupa głosów zabrała nam najwięcej czasu. Jednym z problemów była interpretacja przekreślenia na krzyż całej listy – zgodnie z tą, którą otrzymaliśmy, za skreślone uważano tylko te osoby, które obejmował cały krzyżyk. W związku z tym ostatni kandydat na tej liście, Adam Zieliński, dostał wiele głosów z całą pewnością niezgodnie z intencjami wyborców i dzięki temu okazał się jedynym, obok popularnego wtedy Mikołaja Kozakiewicza, który w efekcie został wybrany z tej listy.

Okazało się, że moje zaangażowanie w politykę w 1989 r. dziwnym zbiegiem okoliczności pośrednio miało również duży wpływ na moją późniejszą działalność naukową. Nie byłem w stanie zdać wszystkim egzaminów w sesji czerwcowej i kilka z nich przełożyłem na wrzesień. Wcześniej planowałem pisać pracę magisterską z analizy funkcjonalnej, jednak egzamin z funkcji analitycznych u prof. Józefa Siciaka poszedł mi wyjątkowo dobrze (choć wszyscy mnie przed tym straszili, ale może właśnie dzięki temu byłem dobrze przygotowany) i ostatecznie zdecydowałem się na pisanie pracy magisterskiej u niego. Później zresztą, też pod jego kierunkiem, pisałem doktorat i z dzisiejszej perspektywy oceniam, że był to w tamtej sytuacji najlepszy możliwy dla mnie osobiście wybór, choć tak naprawdę wiele było dziełem przypadku.

ZBIGNIEW BŁOCKI

Mój czwarty czerwca 1989 roku

To była w zasadzie zwyczajna niedziela. Mieszkaliśmy z żoną i dwójką dzieci już od kilku lat na Białym Prądniku, w zasadzie na peryferiach Krakowa, na granicy z Witkowicami i Górką Narodową, skąd blisko było do jurajskich skałek i dolinek. Żona pracowała jako kustosz w Muzeum Archeologicznym, ja na etacie profesorskim w Instytucie Archeologii UJ, córka kończyła, jak co roku chwalębnie, trzecią klasę liceum, syn trzecią klasę szkoły podstawowej. Był piękny, ciepły, słoneczny, letni dzień. A jednak ta niedziela nie była całkiem zwyczajna, była jedną z najważniejszych, jeśli nie najważniejszą w całym moim dotychczasowym życiu. Na murach, słupach, na szybach różnych lokali rzucały się w oczy plakaty wyborcze kandydatów Solidarności, zawsze w towarzystwie Lecha Wałęsy, a także wielkie portrety bohatera

filmu *W samo południe*, na tle napisu SOLIDARNOŚĆ. Tymi plakatami oblepiony był budynek szkoły, nasz punkt głosowania. Naprawdę niezwykle było to, że zarówno w drodze, jak i w samym lokalu wyborczym ludzie się do siebie UŚMIECHALI, co w Polsce było wtedy rzadkością. Wszędzie widać było oznaki wzajemnej sympatii i częste były porozumiewawcze gesty w postaci wzniesionych w górę palców tworzących literę V. Po głosowaniu pojechaliśmy z żoną i dziećmi w okolice fortu Marszowiec, celu naszych niedzielnych wypadów za miasto, trzymając mocno kciuki za powodzenie naszego przyjaciela Jurka Zdrady, ówczesnego kandydata na posła. Tak zapamiętałem ten dzień czwartego czerwca, który na lepsze zmienił, wtedy wydawało się raz na zawsze, oblicze mojej Ojczyzny.

BOLESŁAW GINTER

Landslide

Właściwie nie mam w pamięci obrazu samego dnia wyborów, np. pogody czy szczegółów głosowania. Potrafię jednak przywołać nastrój tego dnia. Stąd „fotograficzna” pamięć splata się z refleksją.

Była to radość uczestniczenia w patriotycznym czynie, odczucie satysfakcji z wypełniania powinności, jakiejś ulgi, że to nareszcie się spełnia. Możliwość wyboru była też pierwszy raz urzeczywistnieniem elementarnego obywatelskiego prawa, którego władza nam dotychczas odmawiała.

Przekonanie, że mamy przygniatającą większość, nie było jednak tym samym co pewność wygranej.

Wszystko bowiem, co dotąd mogliśmy zrobić, to uchylać się od uczestniczenia w narzuconym fałszu „głosowania”, którego wyniki, ustalone a priori, służyły czemuś, co w naszej najgłębszej świadomości było sprzeczne z polską racją stanu.

Sam moment wyborów poprzedzało wiele działań i przygotowań. Można tu przywołać drogę znacznie dalej sięgającą wstecz, bez której te wybory nie doszłyby do skutku: powstanie Solidarności, odradzanie się więzi społecznych, poczucia tożsamości, patriotyzmu, wszystkiego, co w okresie PRL ulegało zakłamaniu i dezintegracji, w tym także stan wojenny, który, po początkowym szoku, uruchomił olbrzymie pokłady zdolności do mobilizacji i działań „u podstaw”, aż po Okrągły Stół i przygotowania do samych wyborów, Komitety Obywatelskie, spotkania, zbieranie funduszy, etc.

Wreszcie wieńczący kampanię słynny plakat z postacią Gary’ego Coopera jako szeryfa z filmu *W samo południe*. To był naprawdę strzał w dziesiątkę. Trudno o bardziej jednoznaczne skojarzenie po czyjej stronie jest racja, prawość, determinacja. Gdzieś w duchu, choć nie przyznając się do tego, czuliśmy się prawie tak odważni i zdeterminowani jak on.

Kilka dni przed wyborami brałem udział w spotkaniu w wypełnionej po brzegi sali Filharmonii Krakowskiej, wykupywaliśmy „cegiełki” na fundusz wyborczy Komitetu Obywatelskiego. Jednym z uczestników był Jan Rokita, który nieco się spóźnił po wcześniejszym spotkaniu z hutnikami. Jego wystąpienie spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem.

W czasie wyborów odwiedzili mnie znajomi z Wielkiej Brytanii – on Anglik, ona Polka. W dniu oficjalnego ogłoszenia wyniku wyborów czekaliśmy na przystanku autobusowym przy ul. Wrocławskiej, na witrynach pobliskiego sklepu były rozlepione obwieszczenia, Hania powiedziała: „Piotr, to jest landslide!”. To był chyba najbardziej trafny komentarz.

Wybory 4 czerwca zwiastowały wyrwanie się z marazmu i szarości peerelowskiej rzeczywistości, która, jak mawiano, „skrzeczy”. W istocie rzeczywistość domagała się wielkim głosem: „normalności!, normalności!”.

Pamięć o wyborach 4 czerwca powinniśmy tym bardziej kultywować, że obecnie od normalności zaczynamy się coraz bardziej oddalać.

PIOTR MACKO

Solidarité – fraternité

Pierwszą połowę 1989 roku spędziłem w Marsylii jako *professeur invité* w Université de Provence. W owym czasie nie było jeszcze dostępu do internetu. O sytuacji w kraju dowiadywałem się z mediów francuskich, które wówczas stosunkowo dużo miejsca poświęcały wydarzeniom w Polsce. Szczególnie bogatym źródłem wiadomości była dla mnie stacja radiowa France Info, na której wzoruje się w Polsce TokFM. Ominęło mnie więc głosowanie w kraju 4 czerwca 1989 roku. Prowansja żyje swoim rytmem i hojnie obdarzona przez naturę trzyma się z dala od wieści z dalekich krajów. Radość z odzyskanej przez nas wolności mogłem więc dzielić z bardzo skromnym gronem, głównie z moim przyjacielem, nieżyjącym już Jackiem Gilewiczem, profesorem w Université de Toulon, niegdyś asystentem w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zdecydowanie silniejsze zainteresowanie towarzyszyło zmianom w Polsce po czerwcowych wyborach w 1989 roku na północy Francji, w departamencie Nord ze swoją stolicą Lille, w regionie, który jest silnym skupiskiem Polonii francuskiej (potomkowie polskich górników przybyłych tam w latach 20. ubiegłego wieku do pracy w okolicznych, nieistniejących już dzisiaj kopalniach węgla). Upadek reżimu komunistycznego w Polsce przyjęto tam z dużym entuzjazmem, a także z podziwem dla bezkrwawego przebiegu procesu transformacji ustrojowej, co przeniosło się na przejawianie często wyrazy sympatii w stosunku do Polaków. Doświadczylem tego nieraz w ciągu 6 miesięcy 1990 roku,

które spędziłem jako *professeur invité* w Université des Sciences et Technologies de Lille. Do tej atmosfery dostrzoiła się nawet lokalna administracja; bez specjalnych zabiegów uzyskałem w Prefekturze *carte de séjour* na okres pobytu we Francji, co mnie mile zaskoczyło, po kłopotach w latach 80. w innych francuskich departamentach z uzyskaniem tego dokumentu (fala ksenofobii spowodowana zamachami bombowymi we Francji w owym okresie). Urzędniczka Prefektury w Lille wyjaśniła mi powód: „Polacy i Libańczycy mają w tej chwili we Francji swoje pięć minut”. Uprzywilejowanie Libańczyków wynikało z historycznych przyczyn (byli pod administracją francuską przed II wojną światową) oraz z solidarności z nimi z powodu toczącej się w Libanie w latach 1975–1990 wojny domowej. Sprzyjający wówczas Polsce klimat pomógł też zdobyć grant, sfinansowany całkowicie przez francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, na czteroletni projekt współpracy naukowej *Réseau Formation-Recherche – Europe Centrale et Orientale* w zakresie analizy matematycznej i teorii aproksymacji, którego byłem współkoordynatorem wspólnie z prof. Anne-Marie Chollet (Université des Sciences et Technologies de Lille). Na koniec smutna refleksja. Nikomu, przynajmniej w moim środowisku, nie przychodziło w owych dniach do głowy, że tęsknoty polityków sprawujących władzę do „sprawdzonych” metod rządzenia, wzorem z dopiero co obalonego systemu, nie znikną na zawsze. Zatrzuca to radość z odzyskanej przed trzydziestu laty wolności.

WIESŁAW PLEŚNIAK

Felieton o przypominaniu

Wspomnienia z przeszłości nie od razu przybierają formę narracji, opowieści. Aby ta powstała, potrzebujemy, jak myślę, bodźca w formie obrazu wywołanego z obszaru naszej pamięci. Potem historia może się toczyć, wolno lub szybko, emocjonalnie bądź w miarę racjonalnie, w zależności od tego, przed jakim gronem ją opowiadamy lub dla kogo ją zapisujemy. Moje obrazy przeszłości sprzed 30 lat to Tadeusz Mazowiecki w Sejmie, wznoszący dłoń ze znakiem V. I potem znikający gdzieś na zapleczu, bo jego emocje były tak wielkie, iż na chwilę zasłabł. Konsekwencje owego obrazu stają się widoczne po latach: jedziemy samochodem z Włoch do Austrii, mijając opustoszałe punkty kontroli granicznej. Strefa Schengen już istnieje, jesteśmy jej beneficjentami.

Na lotnisku w Paryżu ustawiamy się w jednym ogonku do wyjścia, jako posiadacze paszportów bez PRL-owskiej skazy. To są, rzecz jasna, obrazy późniejsze, ale nie byłoby ich bez tego pierwszego, założycielskiego. Dziwić się można, iż nie znalazł się on, jako dowód, w kompendiach traktujących o najnowszej historii Polski. Może i gdzieś się znalazł – ale ja go nie widzę.

Mieczysław Porębski, wybitny historyk sztuki i badacz przeszłości, szczególną wagę przywiązywał do „polskości jako sytuacji”. Takiego właśnie terminu używał. Odwoływał się do wielkich malowideł jako niezbędnych definicji owej sytuacji. Nie byłoby więc polskości, gdyby Matejko nie namalował hołdu pruskiego i bitwy pod Grunwaldem, a także Rejtana. Nie byłoby jej też, gdyby Sienkiewicz, Orzeszkowa i Prus napisali inne książki, niż te,

które podziwiał XIX-wieczny Polak-czytelnik. Polskość nie jest więc tylko ideą, jest nastrojem, kolorem, talentem malarza, umiejącego uchwycić chwilę, wydarzenie, poruszenie tłumy, aby uczynić zeń niezbywalny składnik polskiego temperamentu. Polski *stimmung* działa poprzez wyobrażenia faktów realnych. Kiedy zabierają się zań historycy – niekoniecznie go respektują, bo też nie zawsze chcą czy też umieją uwzględnić emocjonalność w spektrum swoich zobiektywizowanych badań.

A jednak „dno oka” wciąż istnieje. W XIX wieku materializowało się poprzez pędzel malarza – w połowie XX stulecia zaś poprzez soczewkę aparatu fotograficznego. Nasza ikonografia wciąż się bogaci, choć obrazy są w jej zasobie mniej liczne (warto przypomnieć tutaj malarstwo Leszka Sopockiego...).

Przypominanie to właściwość bardzo indywidualna. Bowiem nasza pamięć jest różna. Pisał o tym niegdyś przenikliwie Jerzy Vetulani. Studia nad pamięcią, rozpowszechnione dziś na wyższych uczelniach, skupiają się właśnie nad oglądem i wytłumaczeniem różnych form pamięci. Ich animatorzy starają się omijać politykę, choć nie zawsze się to im udaje. Dla mnie więc ta „polskość odzyskana” skupia się w fotografii Tadeusza Mazowieckiego wygłaszającego mowę sejmową. Zmieniała się skóra świata – jak prorokowali jeszcze przed wojną nasi awangardiści – choć nie wiedzieli dokładnie, jak ta nowa skóra będzie się odznaczać i czym różnić od starej.

Nie chcę retuszować figury mojej przeszłości. Czuję się do niej szczególnie przywiązana.

MARTA WYKA

Wspaniały nastrój

Ten dzień w naszym domu zaczął się bardzo wcześnie, bo Kacper – profesor fizyki prowadzący wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim – zgłosił się, aby być mężem zaufania strony solidarnościowej podczas wyborów. Wyznaczony został do punktu wyborczego w miejscowości Narama – na północ od Krakowa, niedaleko Ojcowskiego Parku Narodowego. Trasę przejazdu przygotowaliśmy z wyprzedzeniem i o świcie wyruszył do Naramy naszym leciwym Fiatem. Ja poszłam głosować, zabierając dzieci, aby i one poczuły panującą w tym dniu wyjątkową atmosferę. Kacper wrócił w nocy pełen opowieści. Wyniki w Naramie były takie, jak w całej Polsce. Nie będąc członkiem Komisji Wyborczej, nie mógł bezpośrednio liczyć głosów, ale widząc pewną bezradność Komisji wobec góry kart do głosowania, zaproponował sposób ich posegregowania i policzenia głosów. Praca poszła szybko i na koniec usłyszał wypowiedziane z uznaniem, „bo pan to umie sobie radzić z dużymi liczbami”. Nazajutrz Kacper spotkał się z Profesorem Jerzym Zdradą, który od mężów zaufania zbierał informacje na temat przebiegu wyborów. Na pytanie, czy nie było jakichś prób fałszowania wyników, mógł odpowie-

dzieć, że w Naramie jedynie pewien bardzo już starszy pan chciał koniecznie dwa razy zagłosować na Solidarność, ale zostało to udaremnione.

Latem tego roku przyjechały do nas do Krakowa dwie przyjaciółki starszej córki z francuskiego liceum w Ferney-Voltaire, w którym Ania przez dwa lata uczyła się w związku z naszą pracą w CERN-ie. Zwiedzanie Krakowa i okolic wzbogaciłymi o wyjazd do Warszawy, zachacząc o Żelazową Wolę, i do Gdańska. W Gdańsku oczywiście poszliśmy pod stocznnię i do kościoła św. Brygidy. Mieszkaliśmy w zaprzyjaźnionych domach, gdzie gospodarze mówili po francusku, więc dziewczęta miały okazję usłyszeć o tym, czym żyliśmy po tych wyborach, w których uzyskaliśmy wszystko, co tylko dało się uzyskać. Po powrocie do Francji jedna z nich – Amendine, która zamierzała studiować nauki polityczne, a następnie dziennikarstwo, w ramach pracy maturalnej napisała o przemianach politycznych w Polsce. Na pytanie komisji, skąd się wziął wybór tematu pracy, odpowiedziała, że była w Polsce poprzedniego lata i panował tam taki wspaniały nastrój, że postanowiła pogłębić swoją wiedzę na temat najnowszej historii Polski.

AGNIESZKA ZALEWSKA

Co to był za dzień!

Co to był za dzień! Zaczynał się nerwowym gryzieniem paznokci, zakończył ulgą i radością ze zwycięstwa. Otworzyła się droga do normalności. Polska wracała do świata demokratycznego, w którym kartka wyborcza rozstrzyga, komu zostaje powierzona władza w państwie. Wybory 4 czerwca 1989 r. były wynegocjowane z ówczesną niedemokratyczną władzą. Ten ich „kontraktowy” charakter wywołał kontrowersje w obozie ówczesnej opozycji. Ja też miałem z tym jakiś moralny i polityczny kłopot, ale uznałem, że skoro tylu mądrych ludzi związanych z ówczesną Solidarnością i KOR-owską opozycją demokratyczną je poparło, to mogę i powinienem im zaufać. Oznaczało to dla mnie, że odrzucam nie wybory, tylko postawę „wszystko albo nic”. Całkowicie wolne wybory były celem, wybory wolne tylko do Senatu i do jednej trzeciej Sejmu – etapem na drodze do tego celu. Włączyłem się w kampanię wyborczą po stronie Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” przy Lechu Wałęsie, przyjmując funkcję rzecznika prasowego tego Komitetu. Podczas kampanii towarzyszyłem kandydatom z „Tygodnika Powszechnego”, w którym wówczas pracowałem: Józefie Hennelowej do Sejmu i Krzysztofowi Kozłowskiemu do Senatu. Działo się. Trzeba było dotrzeć do wyborców nie tylko w Krakowie, ale i w okolicznych miejscowościach. Atmosfera była robocza, choć nie brakowało kłopotów organizacyjnych. Zapamiętałem też, że mimo różnic światopoglądowych i politycznych, wyborcza „drużyna Lecha” nie musiała tracić czasu na rozwiązywanie tych problemów, tylko mogła skoncentrować się na dotarciu z przesłaniem do wyborców. Frekwencja na spotkaniach wyborczych była wysoka, ludzie zadawali pytania, nie wszyscy mieli przyjazne nastawienie, ale nie doszło do jakichś poważnych incydentów. Atmosferę tych spotkań poza Krakowem odbierałem jako wyczekującą,

mimo poparcia Kościoła dla kandydatów MKO, podczas gdy na krakowskich spotkaniach dominował optymizm, po krakowsku umiarkowany, ale wyraźny i potwierdzony rekordowym wynikiem wyborczym 4 czerwca i dogrywki dwa tygodnie później. Jako rzecznik MKO spotykałem się z dziennikarzami i obserwatorami zagranicznymi. Wśród nich z Jamesem Dentonem, amerykańskim działaczem na rzecz demokracji i praw człowieka (zm. 2018), jednym z tych ludzi Zachodu, zarówno z prawicy, jak z lewicy, którzy pomagali w odrodzeniu systemu demokratycznego w pokomunistycznych państwach naszej części Europy. Był tak samo przejęty jak ja, gdy do naszego centrum prasowego w hotelu Polonia zaczęły napływać informacje, najpierw o prowadzeniu, a później o miażdżącym zwycięstwie kandydatów MKO. Były tak dobre, że, jak zapamiętałem z tamtego wieczoru, Jan Rokita z godziny na godzinę markotniał: przecież „oni” nie pogodzą się z klęską i znów wprowadzą stan wojenny. I tak wkraść się w nas niepokój, że Janek może mieć rację. Na domiar złego, jakby na potwierdzenie, nadeszła z Pekinu wiadomość o brutalnej pacyfikacji na rozkaz chińskiej partii komunistycznej. Dziś, po trzydziestu latach od wyborów 4 czerwca, nie ma już wśród żywych wielu z tych, którzy przyczynili się do sukcesu Komitetu Obywatelskiego w Polsce i w Małopolsce. Nie żyją Krzysztof Kozłowski, Stefan Jurczak, Tadeusz Piekarz, Jerzy Turowicz, Maciej Szumowski, Andrzej Potocki. Rozeszły się polityczne drogi wielu z tych, którzy nadal są aktywni publicznie. Okrągła rocznica zamiast jednoczyć w tym, co najważniejsze, dzieli. Ktoś powie, że to normalne. Tak, różnice ocen są normalne, ale nie jest normalne dezawuowanie wspólnego dzieła, jakim było zwycięstwo 4 czerwca, torujące drogę do pełnej suwerenności Polski.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Rok 1989

Decyzję, iż wybory będą w 35% wolnymi wyborami, przyjąłem jako promyk nadziei – niewielki wyłom w ustroju „demokracji ludowej”. Uważałem, że na owe 35% mandatów nastąpi ostry, pełen przekupstwa i fałszerstw atak PZPR-u, z groźbą czołgów sowieckich na granicy, że zatem Solidarność uzyska mniej. Mimo to jednak uznałem to za wyłom – może za nim pójdą dalsze?

NIE DOCENIŁEM, że po niespodziewanym sukcesie, kiedy Karol Wojtyła uzyskał godność papieża, społeczeństwo polskie podniosło głowę. Mój „realizm” poniósł klęskę, gdyż wynik wyborów przeszedł moje oczekiwania. Z niezwykłą radością przyjąłem wiadomość, że Solidarność zdobyła cały Senat i wstrząsnęła owymi 65% izby

poselskiej, że wielu partyjnych ujawni swą skrywaną do tychczas niechęć do ustroju rzekomej „demokracji ludowej”.

Nie brakło wówczas działaczy opozycji, którzy oczekiwali najsurowszych represji w stosunku do „góry partyjnej”, z twórcami przewrotu wojskowego z 13 grudnia 1981 r. na czele. Tę chęć odwetu hamowała nawet nieco polityka Lecha Wałęsy, jednego z wielkich działaczy, polityka, który zyskał zasłużone uznanie nie tylko w Europie (z wyjątkiem, niestety, dzisiejszego rządu polskiego).

A więc nastąpiła zmiana ustroju, nie z kosą w garści, nie z przelewem krwi, niszczeniem mostów i torów. Nastąpiła na drodze pertraktacji przy Okrągłym Stole. Swoista nowość w polskich dziejach, pełnych walk o suwerenność, powstań i rozlewów krwi.

Wydarzenie, które wstrząsnęło Europą.

STANISŁAW GRODZISKI

Wybory 4 czerwca we wspomnieniach aktywisty

30 lat to szmat czasu. W takiej głowie jak moja pozostały dziś tylko plamy wspomnień. Spróbuję je powiązać w sensowną całość, oczywiście subiektywną, bo wspomnienia takie są ze swej natury.

Pierwsza plama to zima w Zakopanem, gdzie wieczorem, po wycieczce na Czerwone Wierchy, siedzimy i oglądamy w telewizorze obrady Okrągłego Stołu. Oglądaliśmy w napięciu, tyle, ile było do zobaczenia. Po siedmiu depresyjnych latach pojawiła się jakaś nadzieja. Pamiętam doskonale to uczucie ulgi, że wreszcie się coś ruszyło.

Wkrótce po zakończeniu obrad Okrągłego Stołu zaczęły się odradzać legalne struktury Solidarności. W krakowskiej PAN poszło to bardzo sprawnie, gdyż przez cały stan wojenny i później działała podziemna komisja zakładowa, która zorganizowała nowe wybory. Byłem jedynym kandydatem na przewodniczącego, osobą dobrze znaną w środowisku od czasów pierwszej Solidarności i zostałem oczywiście wybrany. Z takiej pozycji śledziłem rozwój wydarzeń związanych z zapowiedzianymi na 4 czerwca wyborami.

W mieście długo nie działo się na moje oko nic: żadnych plakatów, ulotek, wieców, słowem martwa cisza. Poszedłem do redakcji Znak, wówczas na Siennej, ale tam, w późniejszej siedzibie Komitetu Obywatelskiego, też jeszcze było spokojnie. W tej sytuacji uznałem, że musimy coś zdziałać na własną rękę, żeby poruszyć miasto. Nie ja jeden: do komisji zakładowej zgłosiła się koleżanka z Instytutu Botaniki z własnoręcznie misternie wykonaną tuszem ściągą wyborczą, w formie zestawu identycznych karteczek na kartce A4, podpowiadających w formie obrazkowej, jak głosować na kandydatów Solidarności. Postanowiliśmy tę ściągę powielić i rozdawać na Sławkowskiej, przed wejściem do budynku. Z władzami PAN wynegocjowaliśmy zgodę na ustawienie stolika w bramie wejściowej. Powielanie, idące w grube tysiące, zapewnił Instytut Farmakologii, gdzie pracowali dwaj członkowie komisji zakładowej jeszcze „sprzed wojny”: śp. Jurek Vetulani i Rysiek Przewłocki. Akcja przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Chętnych do dyżurowania przy stoliku nie brakowało, a ściągę rozchodziły się tak szybko, że trzeba je było wielokrotnie dodrukowywać. Po pewnym czasie pojawiły się materiały dystrybuowane przez dzielnicowe ośrodki informacyjne Małopolskiego

Komitetu Obywatelskiego, które w międzyczasie zorganizowano, i te materiały też rozdawaliśmy przy naszym stoliku, choć do końca akcji królowała nasza ściągą.

Ja sam działałem na dwa fronty, bo równocześnie zostałem przewodniczącym Osiedlowego Komitetu Obywatelskiego Chełmu, Olszanicy i Woli Justowskiej i współpracownikiem jego biuletynu „Nasza Wola”, który redagował mój szwagier, Tomek Schoen. Publikowaliśmy tam różności: mnie w pamięci pozostało spisane przez moją Żonę opowiadanie wolskiego szewca, p. Stefana Wierzchowskiego, o tym, jak przed wojną w Czerniowcach na Bukowinie uczył się zawodu wraz z późniejszym rumuńskim dyktatorem Nicolae Ceaușescu. Wspominał go jako czeladnika leniwego i już wtedy zaangażowanego w robotę partyjną.

Po materiały do rozdawania i po plakaty chodziłem do krowoderskiego ośrodka informacyjnego, który mieścił się w salach ks. Misjonarzy przy ul. Juliusza Lea, podówczas Feliksa Dzierżyńskiego. Ośrodkiem kierował Jerzy Miller, późniejszy minister i wojewoda małopolski. Pamiętam, że byłem pod wrażeniem jego sprawności i pomyślałem, że ten gość daleko zajdzie, bo ma prawdziwy talent do zarządzania. Przez ośrodek Millera przewijały się tłumy: na tym etapie akcja przedwyborcza Solidarności była już solidnie rozpędzona.

Nadszedł 4 czerwca. Nasz wolski komitet pilnował wyborów poprzez swoich mężów zaufania w komisjach wyborczych, w tym w szkole na Woli. Cisza wyborcza nie obowiązywała: rozdawali ulotki przed wejściem do szkoły. A bywało i tak, jak w przypadku mojej Żony, którą sąsiadka poprosiła, aby weszła z nią do kabiny i pomogła zagłosować na Solidarność.

5 czerwca o świcie moja Żona pobiegła pod szkołę, zobaczyć wywieszone wyniki wyborów. Spotkała tam naszego sąsiadę, instruktora ZOMO, który już zdążył się zapoznać z wynikami i wykrzyknął: „Niech pani patrzy!”. Był kompletnie zdruzgotany. On nie miał żadnych wątpliwości, co ten wynik oznaczał.

W mojej pamięci wybory czerwcowe zapisały się jako ostatni moment zbiorowej euforii, porównywalny w moim długim życiu tylko z wyborem Karola Wojtyły na papieża, jego pierwszą wizytą w Polsce oraz z pierwszymi tygodniami po podpisaniu Porozumień Gdańskich.

JAN ŚRODOŃ

To był czas niezwykły...

Wydarzenia, które poprzedzały wybory czerwcowe, przynosiły coraz to nowe zwroty akcji. Telewizyjna debata Wałęsa–Miodowicz, Okrągły Stół, niekończące się komentarze i plotki.

Na koniec uzgodnione, częściowo wolne wybory były jakąś szansą na zmianę sytuacji.

Pełne emocji przygotowania do wyborów, przygotowywanie materiałów informacyjnych i instrukcji do skomplikowanego głosowania, pierwsze wyborcze plakaty, jakże mało profesjonalne z dzisiejszej perspektywy, a zarazem tak ważne i znaczące, spotkania, działania, ustalanie składów komisji wyborczych, mężów zaufania – tak wyglądały ostatnie tygodnie przed 4 czerwca.

Napięcie rosło. Ostatnie dni przynosiły chwile niepewności, czy władza nie rozmyśli się i czy wszystko nie zostanie odwołane. Nie było ciszy wyborczej, więc 4 czerwca staliśmy pod komisjami wyborczymi, a osoby idące na wybory pytały, jak głosować na Solidarność, „żeby było dobrze”.

To był niezwykły czas – mieszanka wielkich nadziei, niedowierzania, sceptycyzmu, obaw. Również po wyborach, z jednej strony radość ogromna (w Senacie 99% naszych senatorów

i w Sejmie wszystkie miejsca, które mogła zdobyć w wyborach Solidarność), z drugiej obawy. Do władzy nie można było mieć zaufania, bo ona najchętniej nie realizowała podpisywanych przez siebie porozumień.

Ale mieliśmy poczucie, że skala zwycięstwa jest wyrazem powszechnej świadomości ludzi, czym była komuna, że już nigdy osoby związane z PRL-em, jeśli nastanie pełna demokracja, nie będą miały istotnego wpływu na to, co w Polsce będzie się działo.

Mieliśmy w Sejmie 30% posłów z Solidarności, co dawało bardzo ograniczone możliwości wpływania na bieg wydarzeń w Polsce. Już po wyborach, na spotkaniu na Woli Justowskiej w lipcu, Krzysztof Kozłowski – na pytanie, jak wyobraża sobie ciąg dalszy sytuacji w Polsce – powiedział, że jak będzie presja społeczna, to może za 4 lata będą warunki do powiększenia liczby miejsc w Sejmie, które byłyby demokratycznie obsadzone, i może wtedy Solidarność mogłaby współrządzić.

Tymczasem już we wrześniu mieliśmy rząd Tadeusza Mazowieckiego.

AKA ŚRODOŃ

4 czerwca – co dalej?

Pierwszą połowę roku 1989 pamiętam bardzo słabo. Późniejsze wydarzenia publiczne i osobiste – nominacja wawelska – zatarły wiele szczegółów. Oczywiście śledziłem rozwój obrad Okrągłego Stołu, odnotowałem pojawienie się pierwszych, bardzo zgrzebnych numerów „Gazety Wyborczej”, pomagałem roznosić jakieś materiały. 4 czerwca zagłosowałem, jak należało (z wielu poprzednich wyborów po prostu przynosiłem do domu kartki do głosowania; mam ich ładną kolekcję), ale jakiś bardziej indywidualny ruch wykonałem dopiero następnego dnia wcześniej rano. Wsiadłem mianowicie do samochodu i objechałem kilka lokali wyborczych w okolicach Olszy. Wynik był jednoznaczny, choć naprawdę należało mieć wiele przenikliwości, a może bardziej optymizmu (którego mi brakowało), by na tej podstawie uznać, że właśnie

w Polsce skończył się komunizm. Na szczęście się skończył, a dzisiaj bardzo łatwo mówić, że się od początku o tym wiedziało. Wracając jeszcze do kwestii ówczesnej świadomości, przytoczę streszczenie rozmowy, jaką odbyłem z Minister Izabellą Cywińską po odebraniu nominacji na dyrektora Zamku na Wawelu (wtedy jeszcze Państwowych Zbiorów Sztuki) w drugiej połowie grudnia 1989 roku. Otóż pozwoliłem sobie zadać Pani Minister pytanie: co dalej? Jakie są szanse powodzenia? Odpowiedziała, że nie wie, że cały rząd bierze pod uwagę możliwość przewrotu siłowego, a gen. Kiszczak w czasie posiedzeń Rady Ministrów wykonuje wymowne gesty, wskazując na swe uszy i zwisające z sufitu lampy, w ogólnym przekonaniu znakomite miejsca sytuowania aparatów podsłuchowych.

JAN OSTROWSKI

Na Siennej

Wszystkie drogi prowadzą na Sienią, do Klubu Inteligencji Katolickiej, gdzie jest siedziba Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego. Centrum ówczesnego świata. Dla wszystkich krakowian, którzy marzą o wolnej Polsce, obaleniu komunizmu, zwycięstwie „Solidarności”. I z perspektywy naszej rodziny tam też było centrum naszego rodzinnego życia. W domu spotykaliśmy się na moment, bo każdy był zajęty kampanią. Wszystkie zwykłe, rodzinne sprawy poszły na drugi plan. Studia, praca naukowa – wszystko poszło w kąt. Gdy już udawało nam się spotkać w tym gorącym czasie kampanii wyborczej, wymienialiśmy głównie uwagi o tym, co się udało w kampanii, jak nam się podobają ulotki wyborcze. Zachwycaliśmy się studium wyborczym i szelmowskim uśmiechem Jacka Fedorowicza, który instruował, jak skreślać wszystkich nie naszych kandydatów. Wyrywaliśmy sobie z rąk pierwsze numery „Gazety Wyborczej” i nasze małopolskie, wyborcze biuletyny, redagowane przez Maćka Szumowskiego.

Pokolenie najstarsze. Stefania Włosińska, babcia i mama. Od rana do wieczora siedzi na zapleczu KiK-u i przybija pieczątki do cegiełek, które, potem sprzedawane, będą zasilaty fundusz wyborczy Solidarności. Praca żmudna, niewdzięczna, wiele godzin bez jedzenia. Ale jest szczęśliwa, bo może pomóc i jest potrzebna.

Pokolenie średnie. Małgorzata Kolenda, mama. Choć fizyk, w tym czasie zamienia się w literatkę i pisze biogramy kandydatów. Drukowane na ulotkach, są rozdawane wyborcom, którzy nie mają pojęcia, kto kandyduje. W końcu komunistyczne media raczej kandydatów Solidarności nie promowały. W noc wyborczą w domu

przyjmuje od mężów zaufania informacje z okręgowych komisji wyborczych z pierwszymi wynikami z dzielnicy Krowodrza.

Pokolenie średnie. Zygmunt Kolenda, tata, członek Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego i szef okręgu wyborczego Kraków Krowodrza – od północnego krańca Krakowa do Myślenic i parafii w Tokarni z niezwykle śp. Proboszczem, który zawsze obdarowywał nas „prawdziwymi jajkami, bo takich w Krakowie nie znamy”. Godziny spędza w Domu Parafialnym XX Misjonarzy „Na Miasteczku”, gdzie działa sztab wyborczy; podróżuje samochodem z ulotkami i materiałami wyborczymi. Niekiedy późno w nocy, z uczuciem strachu – zatrzymają, czy się uda przemycić.

Pokolenie najmłodsze. Katarzyna Kolenda (jeszcze bez Zaleska), córka. Pracuje w sekretariacie Komitetu na Siennej. Robi wszystko, co potrzeba. Przekazuje ulotki i biuletyny, plakaty i instrukcje do głosowania, odbiera telefony, parzy (z przyjemnością!) kawę kandydatom. A w weekendy w ekipie kandydatów Mieczysława Gila i Edwarda Nowaka jeździ w kampanijną trasę, razem z ich sztabem, po okolicznych podkrakowskich miejscowościach. W noc wyborczą siedzi na Siennej i odbiera informacje od punktów wyborczych. Dzień później w południe na drzwiach KiK-u wywiesi wyniki wyborów. Na Siennej tłum czekających zaczyna bić brawo i rzucać się sobie na szyję. Dzieje się historia.

Trzy pokolenia 5 czerwca w końcu mają okazję spotkać się w domu. Już wiemy, że wygraliśmy. Tato po prostu stwierdza – „Po raz pierwszy pijemy kawę w wolnej Polsce”.

MAŁGORZATA I ZYGMUNT KOLENDOWIE,
KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA

Kronika wydarzeń

Trzydzieści lat to szmat czasu. Dla tych, co się rodzili albo chodzili w pieluchach, i dla tych, którzy teraz swą pamięć zajmują pospiesznym jej wypełnianiem swoimi bohaterskimi czynami, i dla takich jak ja, co pamięć mają „wybiórczą”, chcę przywołać parę faktów z roku 1989.

W Polsce wtedy stacjonowało ponad 60 tys. żołnierzy sowieckich wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki wojennej. Armia sowiecka dysponowała 13 lotniskami, 4 poligonami (ok. 60 tys. ha), 64 km bocznicy kolejowych i 3 km nadbrzeży portowych.

1 stycznia 1989 zniesiono w Polsce kartki na benzynę i talony na samochody.

Rozmowy rządu z opozycją, obrady Okrągłego Stołu, rozpoczęły się 6 lutego, a zakończyły 5 kwietnia 1989. Uzgodniono tam przeprowadzenie częściowo wolnych wyborów 4 czerwca.

Wracając jeszcze do pieluch – to były tetrowe, które się wygotowywało, prało i suszyło na słońcu. O pampersach nikt nie słyszał. Słońce bywało i były to czasy, gdy student filozofii roznosił rano pod drzwiami butelki mleka i bibułę.

15 marca pojawiają się pierwsze kantory, obrót dewizami staje się legalny.

11 maja „Solidarność Walcząca” wzywa do bojkotu zbliżających się wyborów.

4 lipca 1989 roku odbywa się pierwsze posiedzenie Sejmu X kadencji.

18 sierpnia Czesław Kiszczak rezygnuje z misji tworzenia rządu.

13 września Sejm powołuje rząd w składzie przedstawionym przez Tadeusza Mazowieckiego.

29 września następuje rozwiązanie ZOMO.

10 października rząd Mazowieckiego ogłasza tzw. plan Balcerowicza.

W latach 1989–1992 w Polsce trwa hiperinflacja, przekraczająca 2 000 %. Do obiegu wprowadzano nowe nominały banknotów: 200 000 zł (1989), 100 000 zł, 500 000 zł (1990), 1 000 000 zł (1991) i 2 000 000 zł (1992).

W 1994 jajo kosztowało 2 200 zł, litr mleka 5 500 zł, a kilogram szynki 128 000 zł.

Przeciętna pensja w Polsce wynosiła 5 328 000 zł. Denominację złotego przygotowywano parę lat, zatwierdzono pod koniec 1994, realizowano od początku 1995.

Stare banknoty wymieniano na nowe. Jeden nowy złoty zastępował 10 000 starych złotych.

Wróćmy jeszcze do 1989.

To, co działo się w najweselszym baraku obozu sowieckiego, okazało się bardzo zaraźliwe.

13 czerwca na Węgrzech rozpoczęły się obrady „trójkątnego stołu”.

18 września podpisano umowę rządu z opozycją. Zmieniono konstytucję (m.in. zmieniono nazwę państwa), a w listopadzie uzgodniono termin wolnych wyborów.

Latem 1989 Węgry ogłosiły zniesienie blokady przejścia granicznego z Austrią. Spowodowało to tzw. rewolucję trabantów: w sierpniu ok. 25 000 obywateli NRD uciekło przez Węgry i Austrię do RFN.

W czerwcu rozpoczęły się protesty, wiece, demonstracje w NRD.

9 listopada mieszkańcy Berlina rozpoczęli burzenie Muru Berlińskiego.

10 listopada w Bułgarii odsunięto od władzy Todora Żiwkova oraz rozpoczęto rozmowy z opozycją.

17 listopada rozpoczęła się „aksamitna rewolucja” w Czechosłowacji, która trwała do 27 listopada.

24 listopada na plenum KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji całe kierownictwo partii podało się do dymisji.

29 grudnia Zgromadzenie Federalne wybrało Václava Havla na prezydenta Czechosłowacji.

16–27 grudnia: Jesień Ludów zakończyła się krwawymi i chaotycznymi wydarzeniami w Rumunii, gdzie równocześnie z protestami obywateli na ulicach policja, wojsko i część polityków zorganizowały zamach i pokazowy sąd, zakończony szybką egzekucją Nicolae Ceaușescu i jego żony.

A potem też się działo.

Dokończę więc tylko o Armii Czerwonej:

Pod koniec 1990 r. liczebność tych wojsk zmniejszono do ok. 48 tys. żołnierzy, a 28 października 1992 r. opuściła Polskę ostatnia jednostka bojowa.

PIOTR MALECKI

Mamo, co byś ty zrobiła?

To był wspaniały dzień!

U nas w domu tę atmosferę nakręcali nasi synowie (23-letni Kuba i 19-letni Szymon; jak się okazało 7-letni Paweł bacznie obserwował i myślał).

Starsi w latach szkolnych – licealnych (wspaniały Nowodworek) byli aktywni: roznosili „bibułę” w plecakach uczniowskich, uczestniczyli w manifestacjach, uciekając, złani sikawkami ZOM-owskimi, wpadali z całą grupą koleżanek i kolegów do domu. Ulica Mikołajska u wylotu Małego Rynku – to był dobry punkt.

Po przełomowym Okrągłym Stole czuło się, że historia przyspiesza i zmierza w dobrym kierunku. Wtedy obaj starsi zaangażowali się na serio. Kuba zasiadł

w komisji wyborczej, notabene znajdującej się w jego (naszej) podstawówce przy ul. św. Marka. Przewodniczącą komisji była dawna partyjna nauczycielka ich obu. Szymon był mężem zaufania i działał na zewnątrz: namawiał do głosowania, roznosił ulotki, agitował.

Euforia po ogłoszeniu wyników była niebywała. Ludzie na ulicach witali się znakiem „V”.

Gdy już się uspokoiło, niedługo po tym, pewnego wieczoru 7-letni Paweł zapytał: „Mamo, co byś ty zrobiła, gdyby któryś z Twoich synów zagłosował na komunistów?”.

Dla mnie wówczas było to pytanie irracjonalne; nie brałam takiej możliwości pod uwagę. Czas jednak pokazał, że wybory przestały być proste.

TERESA MALECKA

Refleksja

4 czerwca spędziłem w Komisji Wyborczej jako mąż zaufania. Taka społeczna funkcja, powołana do pilnowania, żeby nikt – a w szczególności komuniści – nie mataczył. Pilnowałem, nie mataczono.

Ale ten dzień był „tylko” zwieńczeniem okresu co najmniej roku wielkich przeżyć transformacji dokonującej się na naszych oczach. Od uciekania wiosną 1988 roku przed ZOMO, goniącym nas po zakamarkach między budynkami Uniwersytetu, poprzez burzliwe i często niestety żenujące posiedzenia NZS-u (byłem wtedy na pierwszym roku germanistyki), historyczne spotkanie z Adamem Michnikiem na Wydziale Historycznym, aż po zbieranie podpisów pod listami poparcia dla kandydatów Komitetu Obywatelskiego na ulicach Krakowa.

Naturalne jest zatrzymanie się na chwilę nad refleksją z perspektywy dnia dzisiejszego.

Refleksją o tym, co się od wtedy, 30 lat temu zmieniło?

Oczywiście posiwały nam trochę skronie, przeżyliśmy wiele prywatnie, oczywiście Polska od tego czasu dokonała niespotykanego w ostatnich stuleciach przewrotu w stronę normalności (nie oceniam, czy ta normalność jest dobra, czy zła), oczywiście jest wiele innych czynników różniących ówczesny stan ducha od dzisiejszego.

Ale dziś nie nad tym myślę, to chyba dość oczywiste. Dziś skupiam się głównie nad pytaniem – czy stanął-

bym teraz przy jakimkolwiek stoliku na ulicy i namawiał kogokolwiek do poparcia jakiejś listy kandydatów? Nie, zapewne nie.

Pytanie, czy to dobrze, czy źle?

Dobrze, bo może po to wtedy była, między innymi, ta transformacja, żebyśmy dziś mogli nigdzie nie stać ani z nikim się nie gonić po zakamarkach. To pewnie jest wolność.

Ale też pewnie trochę źle. Bo nie ma dziś ani w Polsce, ani w Europie, ani tym bardziej na świecie pewnie żadnej idei, co do której większość – przynajmniej zdecydowana – byłaby zgodna.

No właśnie – a może jednak jest? Może w dzisiejszym zgiełku botów w mediach społecznościowych warto byłoby spróbować zaryzykować jakiś katalog, ostrożny, dopracowywany w delikatnym, łagodnym dialogu wszystkich? Katalog tego, co do czego bezwzględnie, poza ewidentnym marginesem kontestatorów, moglibyśmy się zgodzić?

Ważne, żeby był to katalog świeży, nie zużyty. Przemawiający równocześnie do naszych Rodziców, nas samych i naszych Dzieci.

Myślę, że jego zgromadzenie mogłoby przy odrobinie dobrej woli być bardzo proste. I być może, byłby to nawet wielki banal. A jednak chyba dobrze by nam wszystkim taka refleksja wspólna zrobiła.

SZYMON MALECKI

Zapach Nowego

W owym czasie w Gdańsku, jak na każdym większym dworcu, był bufet. W latach osiemdziesiątych śmierdzał z daleka. W miarę pogłębiającego się kryzysu coraz bardziej. Podawano tam dania typowe dla epoki rozkładającego się socjalizmu. Kartofle z jajkiem i marchewką, kopytka ze słoniną, jakieś cienkie zupy na podrobach, jajka w majonezie, wyschnięte grube plastry sera, przysypane mieloną papryką. Talerze były niedomyte, a ze sztućców dostępne były tylko łyżki i powyginane, aluminiowe widelce, często szczerbate. Za to przy kasie na ołuszczonej brudnym sznurku zwiisał jeszcze brudniejszy nóż. Nóż był wspólny dla wszystkich klientów: przed odejściem do stolika można było sobie wszystko pokroić. W bufecie było zawsze tłoczno i jak przy stolikach brakowało miejsc, to ludzie stawiali talerze ze swoimi posiłkami na kamiennym, niskim parapecie nad kaloryferem i klęcząc, jedli. Wyglądali jak zwierzęta, którym rzucono coś do koryta. „Rzucać” było wówczas słowem z dziedziny handlu i zaopatrzenia. Nie mówiło się, że coś w sklepie sprzedawano, tylko że do sklepu coś „rzucono”. Rzucono na przykład koce, a to znów wiadra, albo tapety, czy też kredki dla dzieci. W słowie tym kryła się nie tylko pogarda dla klienta, co jego zezwierzczenie. Sprzedawcy stosownie też klientów traktowali.

Na uniwersytecie też czasem coś do bufetu rzucono: raz były nawet barany, które leżały pokotem wzdłuż korytarza. Innym razem rzucono śmietanę. Ponieważ śmietana była w wielkiej kance, trzeba było przyjść ze swoim naczyniem. Natychmiast opróżniono wszelkie flakony na kwiaty i tłum uczonych i pań z administracji zakłębził się wokół „chlewika” (bo i tak nasz bufet nazywano), a każdy dzierżył dumnie jakiś flakon. Ponieważ niektóre z nich miały cienkie szyjki, to śmietana spływała po dłoniach bufetowej z powrotem do kanki.

Wiosna 1989 to zwiastuny Nowego. Nikt jeszcze precyzyjnie nie był w stanie określić, jakie to Nowe będzie, ale wisiało w powietrzu niczym tajemnicza mgła skrywająca nieprzeniknioną przyszłość, jakieś niedookreślone, choć wciąż oczekiwane lepsze czasy. Ale i tak było w tym coś niesamowicie optymistycznego, gdyż owa mgła przykryła dotychczasową beznadzieję. Po drugie, pachniała inaczej: to był zapach pomarańczy i bananów, zielonego jabłuszka (taka była marka popularnych, pachnących szamponów, od których wypadły włosy). Oczywiście, na uniwersytecie buzowało od dyskusji politycznych, prognoz czy wróżenia z fusów. Nie było jednak obaw takich, jak przed stanem wojennym, kiedy zastanawiano się: „wejda, czy nie wejda”. To też było Nowe: strach uleciał jak kamfora. Nawet nawróceni nagle partyjni ruszyli tłumnie do kościołów. Ale ulica '89 chyba nie żyła aż tak bardzo tym, co miało nadejść w sensie politycznym. Tam dominowały sprawy bytowe, zaopatrzenia w podstawowe produkty, czy możliwość wyjazdu gdzieś na zarobek. Kwitł drobny handel. W miesiącach poprzedzających wybory jak na wywoływanej fotografii wyłoniły się najprzód... chodniki nowego typu, bo te zatłoczyły się od sprzedających rozmaite towary, rozkładanych na czym się dało, na ławkach, składanych fotelach ogrodowych, na kocach, ale najczęściej na rozkładanych łóżkach, które później zastąpiły ich udoskonalone wersje, tzw. szczęki. To na nich piętrzyły się dobra dotąd wydzielane, reglamentowane,

a także i te zupełnie niedostępne. Czegóż tam nie było?! I papier toaletowy, pachnące mydła, szampony, kawa, sprzęt gospodarstwa domowego, części zapasowe do samochodów, opony, wycieraczki, latarki, magnetowidy i Bóg jeden wie co jeszcze. Na łóżkach spożywczych było też mięso z prywatnego uboju, jajka, rąbanki, kiełbasy, drób, czekolady z orzechami, nawet zamorskie owoce i wszelkie dobra, jakie do niedawna były przedmiotem marzeń. No i coraz więcej towarów z importu, który nagle rozwinął się z inicjatywy tysięcy obywateli, którym umożliwiono legalny zakup dewiz, choć złoty nadal był niewymienialny; ale od niedawna paszporty trzymało się już w szufladzie w domu, chociaż wciąż potrzebne były wizy do krajów zachodnich. W gazetach pełno ogłoszeń dotyczących kupna bądź sprzedaży walut. Wkrótce pojawiło się też nowe słowo: kantor, które z judaizmem nie miało nic wspólnego. No i Berlin stał się celem zakupowych podróży Polaków (tam można było jechać bez wizy), a zapisy w kolejkach po wizy zachodniemieckie codziennie sięgały tysięcy chętnych. Inflacja co rusz biła wszelkie rekordy i była rzeczywistym zaskoczeniem dla obywateli nieprzywykłych do realnych praw ekonomii. Początkujący nauczyciel zarabiał 50 000 złotych. Mógł za to kupić dziesięć kilogramów schabu. Telewizor kolorowy kosztował milion.

Miesiąc przed wyborami zaczęła wychodzić nowa gazeta: „Gazeta Wyborcza” – to była prawdziwa rewolucja! Z tytułu można było sądzić, że to efemeryda, przeznaczona do kampanii wyborczej, która właśnie w maju się zaczynała. Oczywiście, od początku w opozycji do państwowych mediów, gdzie nadal dominowała partyjna nowomowa. Czytało się to z zapartym tchem – bo i język był inny, jakże odmienny od propagandowej papki. Na ulicach pokazały się plakaty wyborcze opozycji, z Garym Cooperem z filmu *W samo południe* – znakiem walki osamotnionych ze złem. Potem zaroilo się od zdjęć kandydatów do Sejmu i Senatu: na wszystkich był też Lech Wałęsa – symbol niezłomnego pragnienia wolności i sprawiedliwości. Bo tych innych prawie nikt nie znał.

Ale ulica zdawała się nie angażować w wyborcze przepychanki, tam królowały mydło i powidło, no i walka o lepsze miejsce. Udoskonalenia warunków pracy, jakiś daszek chroniący przed deszczem, większy wybór towarów, upragniony stragan, potem sklepik. W Gdańsku Wrzeszczu ewolucję w handlu widać było jak na dłoni, albo w przyspieszonym filmie. W centrum dzielnicy najpierw targowisko, gdzie wszystko grzęzło w błocie. Potem na miejscu straganów wyrosły ogrzewane sklepiki w drewnianych dziuplach. Jeden przy drugim, jak miniaturowe szeregowców. Trochę jak dzisiejsze budki na jarmarkach bożonarodzeniowych. A każda pachniała inaczej. Natychmiast nadano temu dumną nazwę: Manhattan. Bo i aspiracje ludzi mierzyły wysoko, jak wieżowce w Nowym Jorku. Tak czy inaczej, byle jakie centrum handlowe stało się znakiem Nowego, przeobrażając się po latach w nowoczesny obiekt, jakich w miastach powstało bez liku. Nie do poznania. Tylko nazwa pozostała ta sama: Manhattan. No i pojawiło się nowe słowo, którego – w tym znaczeniu – w '89 jeszcze nie było: „galeria”. A w nich Nowe pachnie tak, jak przed wyborami '89 nic nie pachniało.

4 czerwca 1989 - dzień przywróconej nadziei

4 czerwca 1989 roku, dzień wyborów do sejmu kontraktowego jest dla mnie swoistym plebiscytem narodowym i jednym z najważniejszych wydarzeń w powojennej historii Polski. Zaskakujący rozmiar zwycięstwa Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” Lecha Wałęsy przywrócił nam nadzieję, że marzenia o życiu w wolnym i demokratycznym kraju mogą się ziścić jeszcze za naszego życia.

Głęboko zapadł mi w pamięć wymowny plakat Tomasza Sarneckiego, ówczesnego studenta ASP, zachęcający do głosowania na opozycję antykomunistyczną. Na tym plakacie Gary Cooper, niezapomniany szeryf z filmu *W samo południe*, trzymał w ręce zamiast colta kartę do głosowania, a na kamizelce nad gwiazdą szeryfa miał przypięty znaczek „Solidarność”. Cała postać legendarnego aktora przedstawiona była w ruchu, na tle wielkiego plakatu związku zawodowego.

Dzień 4 czerwca 1989 pamiętam jako symboliczny, ale także i rzeczywisty koniec systemu komunistycznego w Polsce oraz zapowiedź jego nieuchronnego upadku również w całej Europie, gdyż w ślad za nami wkrótce ruszyły inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Narzucony autorytarny system, zniewalający ludzką przedsiębiorczość i niewydobywający z ludzi ich najlepszych cech twórczych, przechodził do niesławnej historii. Dla każdego człowieka wizja szczęśliwszej przyszłości stanowi przemożną siłę napędową oraz życiową motywację do bardziej efektywnej edukacji, a później jeszcze bardziej wydajnej pracy. Społeczeństwo, a nasze już w szczególności, jest zbiorem indywidualności, których wspólne

zaangażowanie w realizację nawet trudnych zadań w warunkach państwa wolnego i demokratycznego stanowi wielką siłę sprawczą.

Za symboliczny początek przemian ustrojowych należy uznać obrady Okrągłego Stołu, które miały miejsce wczesną wiosną 1989. Doszło wtedy do poważnych rozmów przedstawicieli władz komunistycznych z przedstawicielami strony opozycyjno-solidarnościowej, wspieranymi przez światłych delegatów Kościoła katolickiego, cieszącemu się wtedy ogromnym społecznym autorytetem. Ustalenia Okrągłego Stołu stały się wielkim sukcesem „Solidarności”, wyrażającej wolę zdecydowanej większości społeczeństwa. To brzemienne dla przyszłych przemian w Polsce wydarzenie należy oceniać z perspektywy tamtych lat, w których się ono rozgrywało. Wynegocjowane zaś uzgodnienia winny być odniesione do ówczesnej, skomplikowanej rzeczywistości politycznej. W maju 1989, odnosząc się do wyborów 4 czerwca Lech Wałęsa pisał: „To nie jest jeszcze wolność i demokracja, ale jest to ważny krok na drodze do wolnej, demokratycznej, gospodarnej Polski”.

Nie ulega wątpliwości, iż w naszej najnowszej historii były to wydarzenia o znaczeniu przełomowym, często określane przez zewnętrznych obserwatorów jako „bezkrwawa rewolucja”. Przyniosła ona wolność nie tylko naszemu krajowi, ale także zapoczątkowała demokratyczne przemiany w Europie Wschodniej. Polska weszła w jeden z najpomyślniejszych okresów w swojej historii.

ANDRZEJ B. LEGOCKI

Z Wiednia

Dzień 4 czerwca 1989 roku zapamiętam jako jeden z najważniejszych dni w naszej historii najnowszej. Zapewne na zawsze pozostanie on w mojej świadomości jako symboliczna data upadku komunizmu (wreszcie!).

Niestety, wbrew oczekiwaniom, osobiście bardzo niewiele wspomnień mam do przekazania na temat wyborów w dniu 4 czerwca 1989 roku. Tak się pechowo złożyło, że nie było mi dane wziąć w nich osobistego udziału. Byłem bowiem w tym dniu w Wiedniu na konferencji naukowej, która kończyła się w niedzielę czwartego, późno po południu, a wczesnym wieczorem miałem samolot powrotny do Krakowa.

Utknęły mi jednak w pamięci dwie sytuacje. Pierwsza związana z podjętą przeze mnie próbą oddania głosu. Pamiętam kolejki oczekujących na głosowanie, tak duże, że nie miałem żadnych szans, aby zagłosować przed odlotem mojego samolotu.

Natomiast już w samolocie okazało się, że mam miejsce obok prof. Andrzeja Stelmachowskiego, którego wówczas jeszcze nie znałem osobiście. Był on w towarzystwie kilku osób, które razem z nim zawzięcie i ciekawie dyskutowały o naszych wyborach. Nie przypuszczałem wówczas, że w przyszłości będę miał z nim (wówczas już ministrem edukacji narodowej) osobiste spotkania, ważne dla przemian harcerstwa w kraju, z racji pełnionej wtedy przeze mnie funkcji przewodniczącego Społecznej Rady Harcerstwa w Polsce.

Tak więc choć ten dzień był dla mnie osobiście ważny, to związane z nim moje wspomnienia tylko w niewielkim stopniu dotyczą bezpośrednio pamiętnych wyborów czerwcowych.

Z perspektywy czasu mogę tylko powtórzyć: „niestety”, tym bardziej że we wszystkich późniejszych wyborach już uczestniczyłem, na ogół intensywnie.

JANUSZ ORKISZ



Krzysztof Skórczewski, Wzlot

Wzlot

Będąc artystą grafikiem, jestem bardziej predysponowany do wyrażania myśli i uczuć poprzez obraz niż zamykania ich w słowach. Chciałbym przedstawić swoją pracę graficzną powstałą w 1977 roku, czyli dużo wcześniej niż czerwcową datą, tak ważną dla Polaków. Miedzioryt punktowy *Wzlot* powstał na emigracji w pracowni Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Sztokholmie i ma dla mnie oczywisty związek z wydarzeniami, które nastąpiły 12 lat później. Z perspektywy emigranta bardzo wyraźnie widziałem tragiczne skutki położenia swojego kraju. Przekładało się to w oczywisty sposób na moje życie, sytuację mojej rodziny i przyjaciół. Ci ostatni prawie wszyscy byli zmuszeni do emigracji i rozproszyli się po całym świecie. Moim marzeniem było wtedy to, co przedstawia grafika – oderwanie się od więzów i ograniczeń, wzlot ku wolności osobistej i niezależności mojej ojczyzny. Nastąpiło to po latach, a symbolem pozostaje data 4 czerwca 1989 roku.

KRZYSZTOF SKÓRCZEWSKI

Uznanie i szacunek

Pierwszego kwietnia 1989 roku, wraz z całą rodziną, wracamy z prawie półtorarocznego stypendium na University of Pennsylvania w Filadelfii. Powrót do kliniki na Skawińskiej, do kolegów, wreszcie do chorych, z którymi tak długo nie miałem kontaktu. Ale już kilka dni później dostaję informację, że dr (wówczas) Tomasz Gąsowski potrzebuje osób, które zaangażują się po stronie „Solidarności” w akcję wyborczą w gminach otaczających Kraków. Naszym kandydatem do Sejmu jest dr (wówczas) Jerzy Zdrada. Dołączamy z żoną do zespołu kierowanego przez etnologa, dr Teresę Dobrowolską. Mamy prosić o wsparcie w pierwszych, częściowo wolnych wyborach mieszkańców gminy Jerzmanowice-Przeginia. W każdy weekend wsiadamy w nasze auto i odwiedzamy poszczególne wsie w gminie.

Do dziś pozostaje mi w pamięci to niezwykle doświadczenie. Naszymi rozmówcami są księża proboszczowie z gminnych parafii, nauczyciele, wreszcie lokalni aktywiści, angażujący się już od jakiegoś czasu w działalność opozycyjną. Większość rozmówców, mimo zrozu-

miałej niepewności co do dalszego rozwoju wypadków, angażuje się w organizowanie ludzi wokół kandydatów „Solidarności” z dużym entuzjazmem i nieskrywaną nadzieją. Są jednak i postawy bardziej zachowawcze, ostrożne. Partia jawiła się przecież wtedy ciągle jeszcze jako organizacja wszechwładna, a wojska sowieckie siedziały w lasach na znacznych obszarach zachodu i północy Polski. Kto miałby chronić przed władzą mieszkańca Sąspowa czy Czubrowic? Przecież nie byli to znani już wówczas w całej Europie czy świecie opozycjoniści warszawscy czy krakowscy.

A jednak organizowali się, przychodzili na zebrania, zadawali pytania, choć jeszcze nie mieli pełnej świadomości, że oto będą decydowali o losach Polski w następnych latach. Ale czy my wszyscy mieliśmy? Dla ówczesnego zaangażowania i decyzji mieszkańców tych podkrakowskich wsi jestem ciągle pełen uznania i szacunku. Rozmawialiśmy zresztą o tym z profesorem Jerzym Zdradą, gdzieś przed rokiem, właśnie tam, w Jerzmanowicach.

JACEK MUSIAŁ

Wybory 4 czerwca 1989 roku – wspomnienia po przejściach

Długo będziemy prowadzić dyskusję nad rolą wyborów 4 czerwca 1989 roku w naszej współczesnej historii. Jedni uważają, że chociaż nie w pełni wolne, mają one podstawowe znaczenie dla fundamentalnej zmiany ustrojowej w Polsce. Inni mówią, że można było zrobić więcej, bo sytuacja na świecie, a w szczególności u naszego wschodniego sąsiada, nie dawała możliwości zewnętrznej interwencji i zbrojnej pomocy komunistycznym władzom w naszym kraju. Nie chcę rozstrzygać w szczegółach tej kwestii, ale moje przeżycia z tamtego okresu wskazują mi rozwiązanie. Uważam dyskusję w Magdalence, spotkanie przy Okrągłym Stole i w efekcie doprowadzenie do czerwcowych wyborów za rozwiązanie optymalne w tamtym okresie polskiej historii. Patrząc na te wszystkie wydarzenia, mając przed oczami całe lata powojenne w Polsce, ale także doświadczenia bieżące. Wspominam okres od 1980 roku, a więc od powstania Solidarności, stanu wojennego, internowania, ruchu konspiracyjnego i wreszcie odzyskania wolności po 1989 roku. Życie codzienne w tym okresie, jak zresztą w całym okresie PRL-u łatwe nie było. Pamiętam praktycznie stały brak towarów, ich reglamentację i wprowadzenie kartek, wielogodzinne oczekiwania w kolejkach po wszystko. Z drugiej strony doświadczaliśmy czegoś, co wspominam ze wzruszeniem. W pewnym zakresie nasze przeżycia z tamtego okresu były unikalne, takie, które trudno spotkać w naszej historii dawnej i obecnej. Mam na myśli praktyczną niemal jedynomyślność narodową i powszechnie okazywaną pomoc, oczywiście z wyłączeniem małej części społeczeństwa – nomenklatury partyjnej. Zaczęło się w tym czasie kształtować społeczeństwo obywatelskie, świadome szanse fundamentalnych przemian, czego wyrazem było duże zaangażowanie w to co dzieje się w Polsce, w tym oczywiście bardzo wysoka frekwencja wyborcza 4 czerwca. Obserwowaliśmy także duże zaangażowanie w niesieniu pomocy potrzebującym i to nie tylko ze strony najbliższych, ale też znajomych i całkowicie obcych ludzi. Być może, że w takiej pozytywnej ocenie tamtych dni „pomaga” mi fakt, że byłem internowany. Pamiętam opiekę, z jaką spotykała się rodzina na wolności ze strony przyjaciół, osób nieznanych, Kościoła katolickiego, a także osób z zagranicy. Taksówkarze w wielu wypadkach bezpłatnie przewozili rodziny na spotkania z osobami internowanymi i to nie tylko do miejsc w pobliżu, ale także do odległych miejsc internowania. Także lokalna ludność, np. w Uhercach Mineralnych, świadczyła bezpłatnie usługi hotelowe dla rodzin osób internowanych przyjeżdżających w odwiedziny, a wszystko organizował proboszcz z lokalnej parafii. W obozach internowania wszyscy, wierzący i niewierzący, oczekiwaliśmy każdej niedzieli, aby spotkać się na nabożeństwach odprawianych przez miejscowych księży. Kościół katolicki może obecnie tylko pomarzyć, jaki wtedy miał społeczny autorytet. Zainteresowanie sytuacją w Polsce po wprowadzenie stanu wojennego widoczne było także wśród społeczeństw państw zachodnich. W 1986 roku, gdy po wielu próbach dostałem wreszcie zgodę na wyjazd zagraniczny (wcześniejszy brak takiej zgody był jedną z szykan wobec osób internowanych), koledzy fizycy z Holandii dali mi plakat, który Komitet Orłowa rozprowadzał w CERN-ie (w załączeniu).

Pamiętam życie za żelazną kurtyną, wyjazdy naukowe do krajów zachodnich, podziw i zazdrość przy porównywaniu swobód i poziomu życia tam i u nas. Tak się składa, że stopnie i tytuły naukowe zdobywałem w tym gorącym dla nas okresie historycznym. Moje kolokwium habilitacyjne odbyło się w Krakowie 10 grudnia 1981 roku, a więc na trzy dni przed wprowadzeniem stanu wojennego. Oczywiście internowanie nie pozwoliło mi na przygotowanie całej dokumentacji związanej z habilitacją. Dzięki temu konieczność podpisania dokumentów habilitacyjnych dała mojej żonie możliwość uzyskania dodatkowego widzenia się ze mną w obozie internowania w Uhercach i równocześnie weryfikację, czy nie ucierpiałem w pożarze, który miał miejsce w tym ośrodku. I tu

przypomina mi się zabawna sytuacja w jakiej znalazła się wówczas moja małżonka. Wartownik, który odbierał od niej dokumenty do podpisania, miał ogromne trudności ze zrozumieniem, co należy z nimi zrobić. Po dwóch nieudanych próbach załatwienia sprawy u komendanta obozu przyszedł do niej z informacją i z całą powagą stwierdził, „że nie jest taki inteligentny, na jakiego wygląda”, i nie bardzo wie, jak to załatwić. W końcu, przy podpowiedzi żony, by umożliwić jej widzenie, wykazał się zrozumieniem i żona mogła się ze mną zobaczyć, i załatwić sprawę podpisania tych dokumentów.



Z samym 4 czerwca wiąże się dla nas zabawne wspomnienie. Z grupą przyjaciół byliśmy w sobotę 3 czerwca na spektaklu w Piwnicy pod Baranami. Nastrój był podniosły, tematyka występów koncentrowała się na wyborach, które były następnego dnia. I kiedy wydawało się już, że występ w Piwnicy zmierza ku końcowi, nagle Piotr Skrzynecki oświadczył, iż właściwie nie warto iść spać, wobec tego przedłuża kabaret do godziny 6, tak, by od razu można było udać się do lokalu wyborczego. Wprawdzie spektakl skończył się nieco wcześniej, ale wszyscy po wyjściu z Piwnicy zebraliśmy się na Rynku, dyskutowaliśmy i mieszkańcy Krakowa doczekali się godziny otwarcia lokali wyborczych. A my z żoną pojechalismy głosować na Śląsk.

Pomimo wszystkich uwarunkowań i okoliczności, których doświadczamy przez kolejne 30 lat, bliskie mi są słowa znanej polskiej aktorki: „4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm”.

Z perspektywy czasu można stwierdzić, że proces przemian doprowadził do zmiany państwa rządzonego przez autorytarną władzę w państwo demokratyczne. Uświadamia nam też obecnie, że nie jest ono dane nam raz na zawsze i wymaga ciągłego zaangażowania społeczeństwa.

MAREK ZRALEK

Stolik na rogu

Wybory 4 czerwca '89, *W samo południe* z Gary Cooperem... – niemal epoka minęła, a pamięć przywołuje tak niesamowicie dobre emocje i entuzjazm, że niesie jak na skrzydłach. Ta pamięć pozytywnych emocji odzywa się od razu, bez potrzeby otwierania jakichś zamkniętych drzwi czy głębokiego przeszukiwania jej pokładów i podsuwa natychmiast wspomnienie wylotu ulicy Szewskiej na krakowskie Planty, miejsce, w którym krzyżują się szlaki wielu krakowian i do dziś stale ktoś tam zbiera podpisy, do czegoś próbuje przekonywać. Wtedy stał tam improwizowany stolik, na którym leżały listy kandydatów w wyborach, zwanych „kontraktowymi”, a jednak jakże innych od wszystkich, które pamiętałam przed rokiem 1989. Były to listy kandydatów Komitetu Obywatelskiego do Sejmu i Senatu, pamiętam głębokie poczucie, że są to nasi, własni kandydaci, oraz jak z gorącymi oczyma przekonywaliśmy przechodniów, że to także ich kandydaci i przyszli przedstawiciele – no i żeby podpisywali się pod listami.

Gorzej jest, gdy usiłuję przywołać dokładniejszy kontekst, ludzi, daty, szczegóły organizacyjne. Teraz, gdy przeszukuję po latach wszelkie źródła w poszukiwaniu „twardych” informacji, widzieć bardziej chłodnym okiem, jak ogromnym zadaniem było zorganizowanie tych wyborów po naszej myśli. Przypomnijmy sobie tylko, jak trudno było złożyć skomplikowaną mozaikę opozycyjną w całość i jak krótki był czas, w którym trzeba to było zrobić. 7 kwietnia 1989 roku Sejm PRL dokonał nowelizacji Konstytucji i przyjął ordynacje wyborcze do Sejmu i Senatu PRL, a już 8 kwietnia Komitet Obywatelski „Solidarność” na zebraniu w Warszawie zdecydował o kształcie list wyborczych. Ustalono tam, że trzeba utworzyć na podstawie list regionalnych wspólną listę kandydatów opozycyjno-solidarnościowych w skali krajowej na wszystkie dostępne w wyborach mandaty, a więc błyskawicznie musiały powstać regionalne komitety – tak było i w Krakowie, gdzie 10 kwietnia 1989 r. powstał Małopolski Komitet Obywatelski, z siedzibą

w Klubie Inteligencji Katolickiej przy ul. Siennej 2. Do pracy w nim zgłosiło się natychmiast ponad 2 tys. wolontariuszy. Czas do wyborów tykał, a przecież wszystkie kandydatury (zgłaszane przez ogólnopolskie organizacje polityczne, społeczne i zawodowe) musiały być potwierdzone przez co najmniej 3 tys. podpisów w okręgu. Trzeba było zebrać te podpisy w niespełna 2 tygodnie, gdyż już 23 kwietnia KO „Solidarność” zatwierdził wspólne listy wyborcze i ustalił dalszą strategię.

O dalszych losach kampanii i przebiegu wyborów zapewne niejedno zostało napisane, także w tym numerze PAU-zy. Moje osobiste wspomnienie z tamtego czasu koncentruje się wokół wspomnianego stolika przy końcu ulicy Szewskiej. Właśnie tam zorganizowano dodatkowy punkt zbierania podpisów pod naszymi kandydaturami, wspomagający sztab wyborczy przy ul. Siennej. Był środek chłodnego i burzowego kwietnia i trzeba było zmieniać się na dyżurach – byłam w jednej ze zmian sztafety, uformowanej m.in. przez Wydział Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego, który posiadał silną „Solidarność” i mocnych ludzi. Z ogromną satysfakcją notowaliśmy spore zainteresowanie i wielu ludzi podchodzących do nas, rozpytujących, o co chodzi i w większości składających swoje podpisy pod listami. W pewnym momencie podeszła do mnie jedna z moich osobistych znajomych i ze zdumieniem zapytała: „Ewa, ty tu, nie boisz się?” po czym oczywiście podpisała się pełnym imieniem i nazwiskiem. Wspominała potem przez wiele lat to zdarzenie jako punkt zwrotny w jej świadomości (przecież myśmy wciąż jeszcze tkwili w tamtych czasach, naznaczonych ryzykiem i niepewnością). Mimo że niełatwo bywa po latach odnaleźć tamte szczegóły, tamtych ludzi, nawet jeśli nie było to dokładnie tamto miejsce, tamten dzień, czy to takie ważne? Przypomnijmy sobie wszyscy, jak to było, jaka nas niosła wspaniała atmosfera solidarności, która zdolna jest zniwelować poczucie strachu i niemocy. Przypomnijmy sobie – i pozostajmy tacy.

EWA BROCLAWIK

Wybory 4 czerwca 89

Pierwsze w pełni demokratyczne wybory w Europie Środkowo-Wschodniej po II wojnie światowej odbyły się dopiero 27 maja 1990 do samorządów gminnych – odrodzonych w oparciu o zasady ustawy przygotowanej w Krakowie przez kierowane przeze mnie Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych „Solidarności”.

Miałem zaszczyt i przyjemność być wśród członków założycieli Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, który przygotowywał wybory – wraz z Markiem Cholewką zorganizowaliśmy dzielnicowy sztab wyborczy dla 200-tysięcznego prawobrzeżnego, robotniczego Podgórza z siedzibą w Kamieniu im. Jana Pawła II przy Kościele św. Józefa, który u nas przez całe lata osiemdziesiąte odgrywał podobną rolę jak Mistrzejowice w Nowej Hucie.

W wyniku Okrągłego Stołu 1 Maja 1989 szliśmy w pochodzie „Solidarności” z Wawelu na Rynek Główny z kandydatami do Parlamentu, pierwszy raz nie bojąc się, że ZOMO będzie biło.

16 maja 1989 r. pod konsulem ZSRR studenci krzyczeli „Sowieci do domu”, za co zostali zaatakowani przez MO, co wywołało trzydniowe zamieszki.

4 czerwca wraz z Anna Polony i Marią Osterwą-Czekaj reprezentowałem MKO „S” w jednej z czterech krakowskich dzielnicowych komisji wyborczych właśnie dla Podgórza, gdzie większość stanowili notabie strony rządowej. W nocy po podliczeniu głosów przewodniczący komisji dostał ataku wreczka żółciowego – Maria Osterwa-Czekaj, córka Juliusza Osterwy i Matyldy z książąt Sapiehów, do tej pory opowiada, „że to na widok Barczyka, który wrócił z domu ubrany w koszulkę z napisem:

SOLIDARNI, DZIŚ JEST NASZ DZIEŃ.

Tak opisuje to w najnowszym wydaniu „Krakowa” red. Jerzy Sadecki, który w tamtej kampanii wyborczej redagował w dużym nakładzie „Głos Wyborczy Solidarności”.

Sejm kontraktowy na swoim pierwszym posiedzeniu wybrał mnie na sędziego do Trybunału Stanu, który nikogo nie osądził, chociaż w następnej kadencji już jako poseł zostałem wybrany na oskarżyciela W. Jaruzelskiego i C. Kiszczaka przed Trybunałem Stanu, ale wkrótce Wałęsa rozwiązał Sejm.

KAZIMIERZ BARCZYK

Na cztery łapy

Zacznę od ubiegłorocznej rocznicy. Migawka telewizyjna, 4 czerwca 2018 roku, młoda kobieta, zapewne posłanka, zapytana w kularach Sejmu, co się stało 4 czerwca 1989 roku, rzuciła do kamery bez chwili namysłu: „To dzień, w którym komuna spadła na cztery łapy”. Mimo całej kuriozalności, nie lekceważyłbym tej wypowiedzi, bowiem to parosekundowe ujęcie dotyka do żywego bolesnych punktów dzisiejszego świata i naszej w nim egzystencji. Czego możemy się z tych paru słów dowiedzieć o nas i rzeczywistości, w której żyjemy? Po pierwsze tego, że przeszłe wydarzenia *pisze się* teraz, a zatem, że wielkiej uwagi nam trzeba i namysłu, gdy *dzisiaj* mówimy o tym, co wydarzyło się trzydzieści lat temu, bowiem przeszłe fakty ulegają wciąż dekreacji i ponownej kreacji. Nie doświadczywszy osobiście, a przynajmniej nie w sposób świadomy, dnia wyborów 4 czerwca 1989 roku, owa młoda osoba zaprezentowała nam obraz owego wydarzenia wyprodukowany przez pewną szkołę modelowania politycznej kariery, opartą na zerojedynkowej, upraszczającej wizji świata. Stąd nauka druga, powinniśmy przedstawiać ów dzień w przeciwieństwie do tych, którzy narzucają jego uogólniające i wysoce zideologizowane odczytanie, właśnie jako doświadczenie jednostkowe, takie, jakiego doznaje pojedynczy ludzki podmiot, i które to doznanie zmienia radykalnie nie tylko jego życie, ale całą rzeczywistość. Skoro tak, to – po trzecie – trzeba zapamiętać ów dzień jako zwycięstwo dzielnej jednostki nad postawą wątpliwego w swą skuteczność i siłę, może nawet lękliwego w gruncie rzeczy tłumu, do którego przecież sama należała. Przed oczami wciąż mam, kto wie, czy nie najsłynniejszy plakat polityczny XX wieku, który młody artysta Tomasz Sarnecki sporządził na potrzeby wyborów: samotny Gary Cooper, ostatni sprawiedliwy, zmierzający do pojedynku, w którym siły były mocno nierówne. A skoro mowa o sferze wizerunków, dobrze utrwaliły się w pamięci zdjęcia z Lechem Wałęsą, jakie kandydaci opozycyjni do Sejmu i Senatu traktowali jako plakaty działające, nie tak jak dzisiaj, jedynie na rzecz samego kandydata, ale jako manifestacja niezależnej, zbiorowej siły politycznej, w której samo nazwisko znaczyło mniej niż idea wolnej, obywatelskiej działalności.

Pamiętam więc to niezwykle wrażenie podwójnego zwycięstwa: nad silniejszym adwersarzem, którego moc struchlała

wobec – to drugie zwycięstwo – jednostki, która pokonała swój strach, zniechęcenie, znużenie. Pamiętam niezwykle ożywienie, jakie zapanowało w najbliższym otoczeniu: sąsiedzi rozprowadzający cegiełki na rzecz listy Solidarności, nawoływanie do uczestnictwa w wyborach, które nie miało cech perswazji, nie operowało – jak obecnie – wynikami sondaży, kalkulacją szans, lecz odnosiło się do sfery czystego moralnego zobowiązania. Niezależnie od tego, że wynik wyborów sejmowych był procentowo ustalony umowami Okrągłego Stołu, to sam fakt, że oto wybory nie były jedynie czczą formalnością, nie były kontrasygnatą na liście sporządzonej przez władzę, lecz, że były *prawdziwymi* wyborami, a w zakresie Senatu były całkowicie wolne i otwarte, sprawiał, że to, co zwano „obowiązkiem obywatelskim”, stało się obywatelską cnotą, ale także źródłem przyjemności czerpanej z faktu bycia obywatelem. Poprzednio obywatelstwo było jedynie zgodą na, mniej lub bardziej posłuszne, legitymizowanie rządzących; 4 czerwca odkryliśmy satysfakcję płynącą z faktu bycia obywatelem. Zdaliśmy sobie sprawę że chociaż władza zawsze wymaga jakiejś legitymizacji, i takową sama skutecznie aranżowała dla siebie w czasach komunizmu, to tym razem legitymizacji takiej może nie otrzymać. Odkryliśmy też radość płynącą z tego, że oto wyswobodzone z obojętności, w najlepszym tego słowa znaczeniu – *zaangażowane* jednostki zbierają się razem i inicjują wydarzenia. To święto *zbierania się*, rozmowy, wzajemnego wspierania się, znane jako półlegalnie działające Komitety Obywatelskie, było nie tylko świętowaniem, ale przede wszystkim praktykowaniem cnoty solidarności, nie jedynie związkowej, ale ludzkiej i społecznej. I na koniec, pamiętam więc 4 czerwca jako polityczne i praktyczne wcielenie w życie pewnej linii myślenia o społeczeństwie, relacjach między władzą a obywatelem, a nade wszystko o wadze takich pojęć: „demokracja”, „ojczyzna”, „praca”, „wychowanie”, jakie odnajdywałem w niezrównanej *Etyce solidarności* księdza Józefa Tischnera oraz w esejach Jana Patočki, w których mówi się o solidarności jako „braterstwie porażonych” (Tischner) lub „solidarności wstrząśniętych” (Patočka). 4 czerwca 1989 „komuna nie spadła na cztery łapy”; to dzień, który wstrząsnął naszym światem i zmienił go na lepsze.

TADEUSZ SŁAWEK

Szczęście i satysfakcja

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

W sposób naturalny w ostatnich kilku miesiącach wracałem myślami do wyborów 4 czerwca 1989 roku i ich wpływu na moje życie. Trzy zdania przedstawienia się: lat 73, fizyk po UJ, doktorat w 1975 r. w IFITJ AGH, 19 lat pracy w dużym laboratorium badawczym fabryki grafitu w Nowym Sączu. Aktywny społecznie przez całe lata osiemdziesiąte XX wieku (od KIK i NSZZ „Solidarność” po opozycję). Od urodzenia mieszkam w Nowym Sączu.

W wyborach 4 czerwca startowałem jako kandydat Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie wraz ze śp. Prof. Zofią Kuratowską w moim rodzinnym województwie nowosądeckim. Zostałem kandydatem, gdyż w Nowym Sączu przeprowadziliśmy prawyborzy (unikalne w skali kraju) i ja te prawyborzy wy-

grałem. Kampania wyborcza była bardzo krótka i trwała niecały miesiąc – polegała głównie na spotkaniach z wyborcami – te spotkania były fascynujące, ale i wyczerpujące. „Zwiedziłem” wówczas całe województwo, jeżdżąc własnym starym Fiatem 125P. Przeciwno sobie mieliśmy cały aparat ówczesnej władzy – PZPR, struktury partii, SB, media, pieniądze – nasza strona miała „tylko” nasz zapał, rosnący w tempie geometrycznym liczbę zaangażowanych wolontariuszy. Potwierdzeniem tego, że dana osoba jest kandydatem Komitetu Obywatelskiego, był słynny plakat z Lechem Wałęsą (cała drużyna Solidarności – 261 osób – została sfotografowana w Stoczni Gdańskiej).

Wieczór wyborczy spędziłem oryginalnie – na balu w 25-tą rocznicę matury (termin balu był ustalony znacznie wcześniej). ►

► Mam z tego balu świetne zdjęcie, na którym stoję w otoczeniu kilkunastu koleżanek i każda z nich trzyma w rękach mój plakat wyborczy. Niedzielę 4 czerwca spędziłem w domu – oczywiście idąc głosować. W poniedziałek 5 czerwca nad ranem miałem kilka telefonów od moich mężów zaufania, którzy przekazywali mi informacje ze swoich komisji wyborczych – w każdej z nich było to samo – razem z Zosią wygraliśmy wyraźnie z pozostałymi kandydatami. Pomimo świetnej atmosfery na spotkaniach z wyborcami wcale nie byłem pewien wygranej z dwóch powodów – po pierwsze moim kontrkandydatem na drugie „biorące” miejsce (pierwsze według zgodnej opinii miała zająć prof. Kuratowska) był ówczesny wojewoda sądecki, pomimo związków z PZPR cieszący się dobrą opinią, po drugie obawiałem się, czy Górale zechcą na mnie głosować, zważywszy ich znaną niechęć do Nowego Sącza.

Pamiętam swoją radość, jak zobaczyłem ogólnopolskie wyniki wyborów, z których wynikało, że wszyscy kandydaci Komitetu Obywatelskiego do Sejmu wygrali, a do Senatu weszło 99 naszych na 100 miejsc. Radość gasiła informacja o frekwencji wyborczej – głosować poszło tylko 62% uprawnionych. Zakładając, że do wyborów poszli wszyscy zwolennicy zmiany systemu politycznego oraz że głosować poszła większość zainteresowanych utrzymaniem władzy przez PZPR – to oznaczało, że ponad 1/3 dorosłych Polaków przyszłość Polski nie interesuje. To był dla mnie szok!

Ostateczne wyniki wyborów do Senatu w naszym województwie okazały się jednoznaczne – Zofia Kuratowska otrzymała ponad 231 tysięcy głosów, ja 205 tysięcy, a mój główny

konkurent tylko 24 552 głosy. Znałem listę kandydatów do Senatu z ramienia KO już przed wyborami i było dla mnie jasne, że jeżeli wygram, to znajdę się w niezwykle ekskluzywnym towarzystwie. Wśród wybranych senatorów było aż 29 osób mających co najmniej stopień naukowy doktora habilitowanego, ponadto 9 osób posiadało stopień doktora. Wśród senatorów były tak znane postacie, jak Gustaw Holoubek czy Andrzej Wajda. Senatorami zostali bracia Kaczyńscy. Następane dni po 4 czerwca były pełne emocji – z jednej strony to radość i duma, z drugiej strony świadomość, że jestem amatorem w polityce, i obawa, czy dam sobie radę. Pojawiały się też plotki, że przegrana strona może posunąć się do użycia siły na wzór 13 grudnia 1981 r. Na szczęście nic takiego się nie stało i 5 lipca złożyliśmy ślubowanie.

W tamtych dniach wydawało mi się, że potrafię pogodzić pracę w Senacie ze swoją pracą zawodową (a kończyłem wdrożenie – na poziomie półtechniki – niezwykle kompozytu CC) – skończyło się pobytem w szpitalu i skoncentrowaniem się na pracy w Senacie do roku 1991.

Podsumowując swoje dotychczasowe życie, muszę stwierdzić, że jestem wielkim szczęściarzem – przeżyłem trzy niezwykle wydarzenia (na granicy cudów), które niezwykle mocno wpłynęły na historię Polski – wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża w 1978 r., rewolucję Solidarnościową lat 1980–1981 oraz wybory 4 czerwca 1989 r. Mam też satysfakcję, że utworzyłem z niczego moją Wyższą Szkołę Biznesu – National Louis University, która wygrywała rankingi przez 10 lat i wykształciła ponad 12 tysięcy absolwentów.

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

Ślub

Podobno wielu mężczyzn ma kłopoty z zapamiętaniem daty swojego ślubu. Nie ja. Elżbieta i ja wzięliśmy ślub ostatniego dnia komuny, a teraz wystarczy tylko odjąć jeden dzień od daty 4 czerwca 1989.

Dla mnie ta data oznaczała nie tylko wielką – większą, niż ktokolwiek się spodziewał – zmianę polityczną w naszym kraju, ale także olbrzymią zmianę w życiu osobistym. W dodatku byłem wtedy w wojsku jako podchorąży, co z jednej strony uniemożliwiło mi zaangażowanie się w kampanię wyborczą, ale z drugiej mogłem obserwować zmiany polityczne z nietypowej perspektywy. Od początku 1989 roku służyłem w Bydgoszczy, wcześniej byłem w Świeciu nad Wisłą. W Bydgoszczy był wtedy cały kwartał wojskowy, gdzie sąsiadowały ze sobą liczne jednostki. Na terenie tego kwartału, w samych jednostkach i w ich pobliżu, wisiały plakaty kandydatów PZPR i „niezależnych” kandydatów, konkurujących z kandydatami Komitetu Obywatelskiego o miejsca dla opozycji. Pamiętam, że jednym z nich był brat kardynała Józefa Glempa, inżynier Jan Glemb (taka pisownia), dość mocno promowany. Oczywiście w mieście zdjęcia z Wałęsą były. Część kolegów próbowała uczestniczyć w kampanii wyborczej, rozwieszała plakaty Komitetu Obywatelskiego i całkowicie wbrew regulaminowi przypinała sobie znaczek Solidarności do mundurów, za co niektórzy z naszych przełożonych próbowali ich szykanować. W ogóle oficerowie Ludowego Wojska Polskiego czuli się strasznie w tej sytuacji zagubieni. Jeszcze pod koniec 1988 roku na szkoleniach politycznych straszono nas Solidarnością, przygotowywanymi przez nią listami proskrypcyjnymi i współpracą z wrogimi ośrodkami, a kilka miesięcy później trzeba było traktować Solidarność jak

mniej więcej normalnego uczestnika życia politycznego. Z tego zagubienia zapewne wynikało, że szykany, jakie spotykały moich kolegów, nie były szczególnie uciążliwe.

Jednego z moich przełożonych, naszego oficera politycznego, chcę wspomnieć osobno. Otóż kapitan D. tłumaczył nam, że w wojsku wszystko trzeba robić na rozkaz. „Jak będzie taki rozkaz, to ja nawet z wojskiem do kościoła mogę pójść, a jak nie będzie, to nie pójde. I wy tu, podchorążowie, nie będziecie tego a tego robić, jeśli nie będzie rozkazu”, mówił. Jestem przekonany, że rok, dwa lata później D. bardzo gorliwie chodził z wojskiem do kościoła, nawet bez wydanego wprost rozkazu. Chodził, a nawet siadał w pierwszych ławkach. Taki typ człowieka.

Żeby wziąć ślub i móc głosować w wyborach, musiałem dostać urlop. Zostałem więc krwiodawcą, bo za każdą porcję oddanej krwi przysługiwał dzień urlopu, który w dodatku można było wziąć w dowolnym terminie. Uciulałem bodaj tydzień, ale to mi wystarczyło.

Po weselu poszliśmy do domu. Głosowaliśmy dopiero po południu, już przebrani, choć Elżbieta później żałowała, że nie poszła do wyborów w sukni ślubnej. Moja mama z kolei żałowała, że ze względu na nasz ślub, nie mogła zostać mężem zaufania Komitetu Obywatelskiego, choć jej to proponowano. A następnego dnia słuchaliśmy napływających wyników: Prawie wszyscy kandydaci Komitetu Obywatelskiego zostali wybrani, prawie nikt z kandydatów PZPR i stronnictw sojuszniczych nie został, lista krajowa padła. W Warszawie przegrał Jerzy Urban, brat prymasa też przepadł. Jeszcze nikt nie rozumiał, co z tego wyniknie, ale to, że głosujący wypowiedzieli się przeciwko istniejącemu systemowi, było zupełnie oczywiste.

PAWEŁ F. GÓRA

Wyspa wolności

Wiosną i latem 1989 roku przebywałem na stypendium w Wiedniu, kończąc swoją rozprawę habilitacyjną. Wyjechałem z Polski już po Okrągłym Stole z mocnym postanowieniem przyjazdu do Krakowa na wybory 4 czerwca. Dla wychodzącej z podziemia opozycji wybory 4 czerwca stać się miały testem na siłę społecznego zaufania do ludzi „Solidarności”. Kraków, do którego wróciłem na weekend wyborczy, obklejony był plakatami. Zdjęcie z Lechem Wałęsą na plakacie wyborczym „Solidarności” – niekwestionowanym wówczas przywódcą opozycji – miało uwiarygadniać naszych kandydatów. W czasie gorącej czerwcowej niedzieli przed naszym punktem przeciwsłonecznym parasolem Uta Kalinowska i moja żona, jako „mężowie zaufania” reprezentujący Komitet Obywatelski. Wielu zadawało bowiem sobie pytanie, czy tak pomyślane wybory nie okażą się kolejnym oszustwem komunistów. A w poniedziałek pod siedzibą Komitetu Obywatelskiego w kamienicy Arcybractwa Miłosierdzia przy ulicy Siennej czekaliśmy na wyniki wyborów. Pamiętam rozpromienioną twarz Mietka Gila – naszego krakowskiego bohatera czasów stanu wojennego – który uzyskał najlepszy wynik spośród wszystkich kandydatów do Sejmu. Zdjęcie z Lechem Wałęsą okazało się 100% gwarancją zdobycia mandatu parlamentarnego. W tym kontekście dzień wyborów 4 czerwca uznać należy za jeden z cudów w historii nowoczesnej Europy.

Temu triumfowi „Solidarności” towarzyszyła totalna klęska obozu władzy, którego nieomal wszyscy przedstawiciele nie uzyskali w I turze wymaganego minimum 50% (na 299 miejsc w Sejmie zarezerwowanych dla przedstawicieli obozu władzy obsadzono tylko 3!). Stało się więc jasne, że reżim został śmiertelnie zraniony. Jego ostateczny upadek był kwestią czasu. Polacy w swoim plebiscycie za wolnością i przeciw systemowi „realnego socjalizmu” powierzyli swój los obozowi „Solidarności”.

Wybory 4 czerwca stworzyły więc zupełnie nową sytuację, również w wymiarze międzynarodowym. Dokładnie tego samego dnia w Pekinie na placu Tiananmen realizował się przy tym inny scenariusz, nie obcy przecież doświadczeniu narodów Europy

Środkowej. Ten splot wydarzeń rodził zarówno entuzjazm, jak i nieufność. W Polsce komuniści nie wybrali drogi chińskiej, ani drogi Ericha Honeckera. Postanowili włączyć się w demontaż systemu, w którego sens sami stracili wiarę. Równocześnie liderzy „Solidarności” – często wbrew oczekiwaniom społecznym – unikali po 4 czerwca konfrontacji z przedstawicielami słabnącego reżimu. W ten sposób polska pokojowa rewolucja, która odbywała się latem 1989 roku w zaciszu gabinetów, weszła w kolejną fazę. Ostatecznym zamknięciem tego wstępnego etapu demontażu systemu stało się sformowanie na przełomie sierpnia i września 1989 roku rządu Tadeusza Mazowieckiego. Jego zaprzysiężenie w dniu 12 września 1989 otwierało nowy etap polskiej transformacji, w którym ludzie „Solidarności” wzięli odpowiedzialność za budowę nowej polskiej rzeczywistości.

W takich okolicznościach wracałem we wrześniu 1989 roku z Wiednia do Krakowa. Po zaledwie kilkumiesięcznym stypendium naukowym w Austrii. Wracałem do tej samej, ale i do innej Polski. Jak bardzo „nienormalny” był to wówczas kraj, można było się przekonać, podróżując w Wiednia do Krakowa przez terytorium Czechosłowacji, nie tylko uśpionej w politycznym letargu, ale i przypominającej podróżnym o swej dożgonnej miłości do Związku Radzieckiego za pomocą ustawionych wzdłuż dróg czerwonych gwiazd i niebudzących wątpliwości o braterstwie narodów napisów. Była to z polskiej perspektywy nie tylko groteska, ale i podwójna przepaść. Potwierdzała nie tylko znaną już wcześniej tezę, iż Polska stanowiła zawsze „najweselejszy barak w całym obozie socjalistycznym”, ale i pozwalała lepiej zrozumieć wyjątkowość polskiej wyspy wolności na mapie ciągle przecież podzielonej żelazną kurtyną Europy. Utwierdzało to nas w romantycznym przeświadczeniu o polskiej misji „Chrystusa Narodów”, zwłaszcza w zderzeniu z czechosłowackimi służbami granicznymi, które traktowały tłumy podróżujących na Zachód Polaków jak trędowatych. Budziło też pytania o dalsze scenariusze rozwoju „polskiej choroby”. Zławsza, że prawdziwe wyzwania stanęły jesienią 1989 nie tylko przed naszymi sąsiadami, ale i przed Polską.

JACEK PURCHLA

Wahanie (krótkie)

Pomagałam trochę na zapleczu Okrągłego Stołu: poprawiać literówki w krążących komunikatach, zanosić te komunikaty właściwym osobom, serwować herbatę i kawę zmęczonym uczestnikom obrad, kiedy wpadali na chwilę do zagraconego pokoju, udostępnionego nam w Hotelu Europejskim. Słuchało się urywków informacji i plotek, które zapamiętałam jako optymistyczne.

Niewielkie to były zasługi w końcówce minionej epoki. Większe mieliśmy, my dziennikarze, w dosyć przebiegłych, choć nieczęsto zwycięskich, grach z cenzurą. W „Tygodniku Powszechnym”, z którym wtedy współpracowałam, miałam luksus oglądania interwencji w postaci kresek w nawiasie i czasami chwalenia się ich liczbą przed kolegami.

Czwartego czerwca powitałam tak, jak z pewnością większość Polaków. Koniec wiadomo jakiej epoki i początek... zdawało się, że też wiemy. Niedługo przyszło wahanie, a może raczej coś w rodzaju, nieoczekiwanego w takim momencie, rachunku sumienia. Jakby ktoś z zewnątrz pytał: czy na pewno masz prawo wrócić do zawodu dziennikarskiego po kilkudziesięciu latach służby na „froncie ideologicznym”, czym była praca w Polskim Radiu (młodym wyjaśniam, że wtedy było tylko radio państwowe). Nie pracowałam nigdy w redakcjach informacyjnych, gdzie często trzeba było kłamać i to grubo, ale w oświatowej czy kulturalnej

redakcji także obowiązywały zapisy cenzury i oficjalne interpretacje.

Moje wahanie szybko rozproszyła radość z tego, że można będzie pozbywać się Ezopowego języka (samo uczenie się mówienia wprost okazywało się bardzo pojętne), że trzeba będzie nadrobić niedostatki okrojonego przez lata przekazu historii, tradycji kulturalnych, przywracać wymazane zdarzenia i kompletować rejestry postaci skazanych na niebyt. Przekonałam się, że moje wahania, co do moralnych uprawnień poziomu estetycznego w tym wszystkim, nie dzielają koledzy, będący w takiej samej sytuacji. Do dzisiaj tego nie rozumiem.

Rozterki minęły szybko, pośród rozszalałych rychło dyskusji, np. o pożądaną w warunkach budowania demokracji „przejrzystości” dziennikarzy, tj. zachowaniu takim, by nikt z odbiorców nie domyślił się, jakie mają poglądy na najważniejsze sprawy. Potem zaczęła się praca nad poprawieniem poziomu etycznego mediów, najpierw w obrębie Rady do spraw Mediów i Informacji przy prezydencie Wałęsie, potem w REM.

Teraz, trzydzieści lat po tamtym dniu, stanowiącym granicę epok, niezależnie od zła, jakie się pojawiało w polskim życiu, robiąc rachunek sumienia, najpierw dziękuję Opatrzności za możliwość przeżycia tego czasu z przewagą radości i satysfakcji nad strapieniami, a potem jeszcze próbuję „mierzyć siły na zamiary”.

MAGDALENA BAJER

Wyprowadzanie sztandaru

JERZY ZDRADA

Wspominając wybory 4 czerwca 1989 r. w Krakowie, nie mogę pominąć wydarzeń wcześniejszych, które miały wpływ na nasze postawy oraz charakter kampanii poprzedzającej głosowanie. Pamiętam strajk w Hucie na wiosnę 1988 r., piorunujący efekt „dyskusji” Lecha Wałęsy z Miodowiczem (30 XI 1988), a wnet po niej międzynarodowe echa wizyty Lecha z Gremkiem i Wielowieyskim w Paryżu (9–12 XII) na zaproszenie prezydenta Mitterranda (obserwowałem to bezpośrednio w jego „orszaku”) oraz utworzenie 18 grudnia Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Kiedy po inauguracji Okrągłego Stołu zapowiedziano przerwę, na naradzie w Gdańsku zaproponowałem, aby Lech rozpoczął od Krakowa i Nowej Huty „tournée polityczne” po Polsce: tak się stało i w dniach 9–10 lutego 1989 r. miały miejsce spotkania w kościele w Mistrzejowicach, tłumne w Collegium Novum UJ, w „Tygodniku Powszechnym”, z ks. kardynałem Macharskim oraz w klasztorze OO. Kapucynów, skąd Lech odjechał do Bielska. W końcu lutego napięcie wzrosło po starciach milicji z manifestującymi studentami. Otrzymane od Macieja Szumowskiego taśmy video z nagraniami zejść pod UJ oraz z narady aktywu partyjno-esbeckiego (z udziałem gen. Gruby) wraz ze swoim opisem sytuacji w Krakowie przekazałem naszym reprezentantom przy Okrągłym Stole, gdyż świadczyły o groźbie siłowej „pacyfikacji”. Sam w tym czasie brałem udział w pracach zespołu ds. samorządu terytorialnego.

Wydarzenia od wizyty Wałęsy w Krakowie, przez akcje informujące o stanowisku naszych przedstawicieli przy Okrągłym Stole do 5 kwietnia, kiedy podpisano porozumienie „kontraktowe”, były prologiem kampanii wyborczej, do której przeszliśmy z marszu: realizując postanowienia Okrągłego Stołu. Zmiana Konstytucji (wprowadzająca urząd prezydenta i Senat, swobodę zrzeszania się i pluralizm związkowy) oraz objęcie przez KO przy Wałęsie patronatu nad wyborami posłów i senatorów ze „strony opozycyjno-solidarnościowej” otwały drogę do utworzenia 10 kwietnia 1989 r. Krakowskiego Komitetu Obywatelskiego w celu koordynowania wyłaniania kandydatów i przebiegu wyborów.

Zgoda na wybory „kontraktowe” wywołała w obywatelskich środowiskach poważne obawy i napięcia. Z wielu stron ostrzegano, że przyniesie nam to klęskę polityczną, że „zarzucą nas czapkami”, bo władze mają wszystkie możliwości od propagandy w TV, radiu i prasie, po tajną policję i wojsko, a na „bratnim” wsparciu kończąc, że w tak krótkim czasie nie zdążymy się przygotować. Nawet po naszej stronie twierdzono, iż zamiast „kontraktowych” 35% mandatów do Sejmu uzyskamy jakieś 23%. Miałem także rozmaite obawy, ale uważałem, iż należało podjąć negocjacje „okrągłostołowe” oraz przystąpić do wyborów „kontraktowych”, aby poszerzać sfery jawnego działania na rzecz demokracji w Polsce. Tym się różniłem od niektórych moich przyjaciół z tajnej działalności w TTK oraz KKW, którzy twierdzili, że zamiast negocjować, należy przygotowywać strajk generalny.

Strona „rządowo-koalicyjna” szła do wyborów ze starymi nawykami, pewna zwycięstwa w pierwszej turze, z „listą krajową” na czele. Służyć temu miała geografia wyborcza: w województwie krakowskim utworzono 3 okręgi wyborcze do Sejmu. Ja startowałem ze Śródmieścia oraz 15 gmin od Michałowic po Czernichów. Zamysł był oczywisty: wyborców krakowskich, tradycyjnie uważanych za opozycyjną inteligencję, miały równoważyć „masy ludowe”.

Tworzyliśmy – jak mówiono – „drużynę Wałęsę”, co w Krakowie symbolizował jedyny tego rodzaju – obok standardowych każdego z nas z Lechem Wałęsą – świetny plakat pomysłu Jacka Stokłosa – na którym Wałęsa trzymał planszę z nazwiskami krakowskich kandydatów do Senatu i Sejmu.

Władze PRL były przekonane, że „kontrakt” gwarantuje im zwycięstwo, tymczasem weszły na pole sobie nieznane i niebezpieczne – po raz pierwszy w tej skali mieliśmy wybór jednej z dwu możliwości a ważność głosu wymagała skreśleń. Najlepiej – agitowaliśmy – pozostawić tylko nazwiska kandydatów Komitetu Obywatelskiego. W moim okręgu taką rolę odegrała świetnie pomyślana „ściąga wyborcza”, rozpowszechniana przez kolegów z PAN – pogładowo instruująca, na kogo głosować i jak skreślać konkurentów. A że nie było ciszy wyborczej, nasze stoliki informacyjne były przed wszystkimi lokalami, „ściąga” rozdawana była masowo i podobno nawet wrzucana do urny wraz z kartą do głosowania.

Kampania wyborcza pozwoliła na jawną działalność tysięcy osób wspierających kandydatów Komitetów Obywatelskich. W „moim” okręgu było nie mniej niż 700 formalnie zarejestrowanych, których pracą kierowali Teresa Dobrowolska i Tomasz Gąsowski z UJ. Pełnili dyżury w punktach informacyjnych na ulicach Krakowa, tworzyli lokalne komitety wyborcze, wyjeżdżali do podkrakowskich miejscowości, a 4 czerwca jako mężowie zaufania czuwali nad przebiegiem wyborów i liczeniem głosów. Dla większości była to pierwsza, niepowtarzalna, nawet jedyna w życiu możliwość bezpośredniego udziału w akcie politycznym w poczuciu wolności.

Kandydaci partyjni na spotkaniach roztaczali m.in. perspektywy pracy na kontraktach zagranicznych i lokalnych dobrodziejstw. Cóż mogłem obiecać? Mówiłem o potrzebie nowej konstytucji, zniesieniu cenzury, konieczności wprowadzenia samorządu, o perspektywie suwerennej i demokratycznej Polski. Na spotkaniu z oficerami w Klubie przy ul. Bitwy pod Lenino, a dziś znowu Zyblikiewicza, przywołałem z Konstytucji 3 maja, iż „wojsko to siła zbrojna wyciągnięta z narodu ku jego obronie”, a nie „zbrojne ramię partii”. Bywało także gorąco, jak w Zielonkach, gdzie „wyręczyli” mnie mieszkańcy, ostro atakując władze za brak dbałości o gminę. W Iwanowicach, po sumie, na placu w kole stojących mieszkańców (głównie mężczyzn) rozprawiałem o koniecznych reformach, w Liskach za trybunę miałem przyczepę od traktora, w Dąbrowce Szlacheckiej agitowałem w kościele od ołtarza, a na Dąbiu w prowizorycznej kaplicy przy budującym się kościele, podobnie na Osiedlu Oficerskim, a na Kazimierzu w salce parafialnej przy kościele Bożego Ciała. W Czernichowie, gdzie była świetna grupa nauczycieli z tamtejszej szkoły rolniczej, spotkanie miało niemal „galicyjski” charakter: przy pięknej pogodzie na skarpie pod kościołem, wokół pomnika Stefczyka, zebrali się chętni, a z boku oparty na łasce stał Prof. Emanuel Rostworowski, właściciel dworu w sąsiedniej Rybnej, który przysłuchiwał się, jak miejski kandydat „wyborczo bałamuci” lud... W klasztorze Dominikanów egzaminowali mnie członkowie Obywatelskiego Komitetu Ratowania Krakowa – mówiłem m.in. o konieczności poprawy komunikacji, o kolei miejskiej na wzór Trójmiasta i na lotnisko w Balicach, co nb. stało się faktem po 25 latach.

Nie było incydentów, czuło się poparcie, sympatię, zaufanie i wielkie nadzieje, wyrażane nie tyle słowami, co postawą, jak w czasie ostatniego spotkania w Przybysławicach za Zielonkami, ►

► kiedy na naszą mocno spóźnioną „ekipę” czekała duża grupa z mnóstwem kwiatów, prosząc, żebyśmy z nimi posiedzieli... My z tymi kwiatami, przybysławiczanie przed nami i w pewnej chwili jedna z mieszkanek przerwała ciszę: „Jacy jesteście ładni ...” Trudno to zapomnieć, bo w tych słowach kryła się nadzieja, że będziemy inni od tych, którzy wtedy reprezentowali „władzę”.

A „oni” chwyтали się rozmaitych sposobów: w połowie maja 1989 r., kiedy już trwała kampania wyborcza, na Starym Mieście po raz ostatni przeciw manifestantom wystąpiło ZOMO. Utarczki w rejonie ul. Dominikańskiej trwały kilka godzin i dopiero moja, wspólnie z T. Piekarzem i L. Moczulskim (kandydatem KPN do Sejmu), interwencja wieczorna u gen. Gruby spowodowała wycofanie „bud” z ZOMO do Toru. Nasze plakaty były niszczone i na moich, obok bazgrołów, była Gwiazda Dawida. Tak „aktyw” przemawiał do wyobraźni wyborców. W noc poprzedzającą wybory nasz sztab skierował „na miasto” grupy z nowymi plakatami, które pokryły mury Śródmieścia, przytłaczając marne agitki partyjne. Kandydaci na posłów, a najpewniej także działacze Komitetu Obywatelskiego, byli pod nadzorem SB. Znałem mi dokumenty świadczące, że inwigilowano mnie także po wyborach, do połowy września.

Niedziela 4 czerwca była słoneczna, Żona dyżurowała w komisji wyborczej w Podgórzu, a ja z kilkoma przyjaciółmi chodziłem w Śródmieściu od jednego punktu wyborczego do drugiego, przed którymi przy stolikach z plakatami, ulotkami i „ściągam” dyżurowali koledzy z UJ, PAN i AM, wszędzie

atmosfera festiwalu wolności, na Rynku Głównym trwał spontaniczny festyn na rzecz wszystkich naszych kandydatów, do chętnych przez tubę mówiłem, że oto dziś „decydują nie kosy, a głosy”, co się nawet podobało.

Około godz. 16 mój pełnomocnik, dr Józef Wróbel, w biurze wojewódzkim, gdzie już „spływały” wyniki z obwodów zamkniętych w szpitalach, domach opieki oraz jednostkach wojskowych, podał, że otrzymałem ponad 80% głosów. Także w „sztabie” w budynku UJ na rogu Manifestu Lipcowego i Czapskich nastroje były z każdą godziną lepsze, a kiedy po godz. 23 przychodzili pełnomocnicy z wynikami z obwodów wykrzykując od drzwi: 85 – 91 – 94 %, temperatura rosła błyskawicznie. Informatycy, pracownicy i studenci UJ sumowali napływające sprawozdania potwierdzające sukces: przypałał mi drugi wynik w Polsce – 87 % ważnie oddanych głosów, po Gilu, który w Nowej Hucie otrzymał 88%.

Wezwanie do skreśniania wszystkich kandydatów „partyjno-koalicyjnych”, podchwycone przez wyborców z satysfakcją, sprawiło, iż głosowanie 4 czerwca miało charakter plebiscytu politycznego, którego wyniki były jednoznaczne.

Nad ranem rozchodziliśmy się zmęczeni i nieco oszołomieni emocjami. Wracałem piechotą – pod lokalami wyborczymi na Kapucyńskiej, Łobzowskiej, Długiej, grupki spieszących do pracy czytały wywieszone na drzwiach informacje z wynikami głosowania, zerkalem i ja ciekawie spoza ich ramion, niektórzy rozpoznawali i gratulowali.

W pół roku po wyborczym przełomie usłyszeliśmy „sztandar wprowadzić!” ...

JERZY ZDRADA

Mój czwarty czerwca

Ten czerwcowy dzień 1989 roku był dniem niezwykłym. Dla nas, w Polsce, stanowił punkt zwrotny w odchodzeniu od dysfunkcyjnego komunizmu i przejściu do wymagającej demokracji i najeżonego rafami kapitalizmu. Tego samego dnia walił się, w strumieniach krwi, sen wielu Chińczyków o wolności. Miliony mieszkańców Iranu obudziło się tego czerwcowego dnia z nadzieją, którą budziła śmierć ajatollaha Chomeiniego.

Dla mnie osobiście stanowił także dzień nowego otwarcia – tego dnia leciałem samolotem do Kanady, gdzie miałem wygłosić cykl wykładów na zaproszenie pięciu kanadyjskich uniwersytetów. Zaowocowały one nie tylko późniejszym, dwuletnim pobytem w tym kraju, ale także kontaktami, które okazały się nieocenione w moim dalszym rozwoju naukowym i współpracujących ze mną osób.

Pamiętam, jak wielkie nadzieje budził we mnie wynik czerwcowych wyborów. Wydawało się, że wreszcie ziścił się sen o dołączeniu do demokratycznego i bogatego Zachodu. W dodatku udało się tego dokonać bez przelewu krwi – tak nietypowo w całej naszej historii. Euforię widziałem też wśród moich przyjaciół i znajomych. Przysłaniała ona widok na poziom trudności, z jakimi musiała zmierzyć się zdemokratyzowana Rzeczpospolita. Skrajnie nieefektywna gospodarka, przestarzały technicznie przemysł – w niektórych obszarach dramatycznie, brak specjalistów od nowoczesnego zarządzania, przyzwyczajenie znacznej części społeczeństwa do

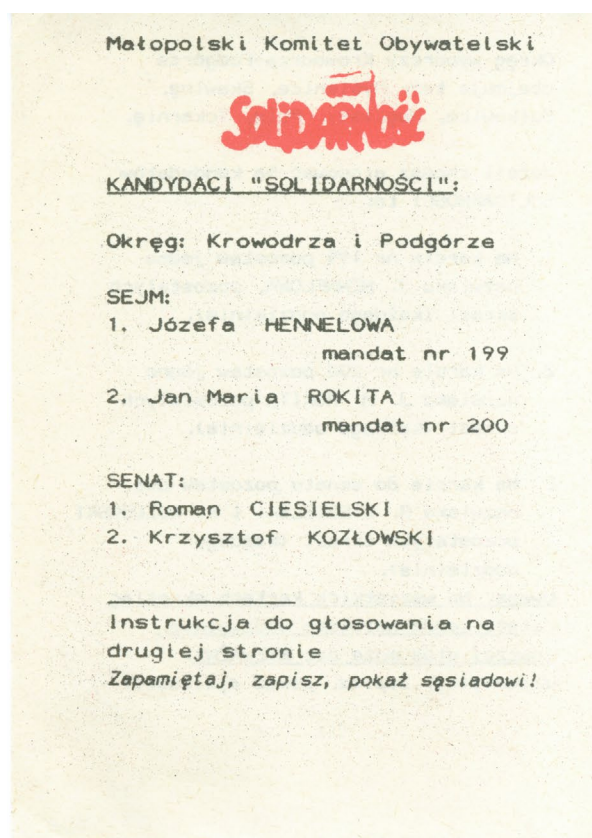
opiekuńczego państwa. Do tego nadal stacjonujące u nas sowieckie wojska.

Osiągnęliśmy jednak sukces – żyjemy w mocno niedoskonałym, ale jednak wolnym kraju, będącym częścią demokratycznego Zachodu. Jesteśmy w Unii Europejskiej, z której czerpiemy niezwykle profity, nie tylko w sensie materialnym, ale także w postaci dobrych, demokratycznych wzorów. Członkostwo w NATO znacząco zwiększyło nasze bezpieczeństwo. Przeszliśmy bolesną gospodarczą transformację, z wielkim bezrobociem, masową zarobkową emigracją czy hiperinflacją. Teraz bezrobocie jest jednym z mniejszych w Europie, a średni poziom życia w Polsce zwiększył się niepomniernie, chociaż nadal odstaje od tego w krajach bogatszego Zachodu. Tak krytykowana przez niektórych prywatyzacja znacznej części gospodarki, w której wzięli udział wielcy światowi gracze, nie tylko pozwoliła na pozyskanie nowoczesnych technologii i dobrych praktyk zarządzania, ale także stanowiła podglebie dla powstania setek tysięcy nowych polskich firm, na ogół jeszcze niezbyt dużych, ale dających pracę milionom ludzi. Uniknęliśmy przy tym niszczącej demokrację oligarchizacji gospodarki, co stało się udziałem niektórych krajów, w których nie zdecydowano się na wpuszczenie większego strumienia obcego kapitału pod hasłami utrzymania narodowego charakteru gospodarki. Nie wątpię, że data 4 czerwca 1989 roku zapisze się złotymi zgłoskami w naszej historii.

ANDRZEJ JAJSZCZYK

Pierwsze, częściowo wolne wybory parlamentarne w Czernichowie

Pierwsze, częściowo wolne wybory do sejmu i senatu w 1989 roku poprzedzone były licznymi spotkaniami komitetów obywatelskich „Solidarności”. Zapowiadało się historyczne wydarzenie i atmosfera oczekiwania na zmiany, ale też obawa o wynik wyborów się nasilała. Uczestniczyłam w zebraniach komitetów obywatelskich, chcąc wspomóc komitety w przygotowaniach i nadzorowaniu przebiegu wyborów. Dzień, 4 czerwca 1989 roku niedziela, zapisał się bardzo dobrze w mojej pamięci. Nie tylko dlatego, że spędziłam go w nietypowy sposób, ale także ze względu na dalsze konsekwencje tych wyborów nie tylko w moim życiu, ale też w życiu każdego Polaka. Wielu z nas wybrałoby prawdopodobnie życie za granicą. Przed wyborami wydawało się mało prawdopodobne, że w Polsce skończy się komunizm i że faktycznie każdy obywatel Polski będzie miał wolny wybór i będzie mógł zagłosować na swoich kandydatów do Sejmu i Senatu. Do dziś przechowuję ulotki wyborcze przygotowane przez „Solidarność”, wykonane na niskiej jakości papierze, który już pożółkł, ale które mają wartość historyczną. Chcąc zaangażować się w wybory, nie tylko jako wyborca, zgłosiłam się do Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarności” Śródmieście przy ul. Manifestu Lipcowego 13. Ostatecznie 4 czerwca znalazłam się w Komitecie Obywatelskim przy Komisji Wyborczej w Czernichowie, w celu śledzenia i nadzorowania przebiegu wyborów. Pomimo pierwszych obaw, że nasz 3-osobowy komitet spotka się niechęcią lokalnej komisji wyborczej, współpraca układała się bardzo dobrze. Nawet wspólnie przygotowywaliśmy posiłki dla całej komisji i komitetu. Przez cały czas śledziliśmy tłumy ludzi przybywających do tego lokalu wyborczego i wrzucających swoje głosy do urny. Taki obrazek był odmienny od tych z poprzednich wyborów parlamentarnych. Młode osoby, zapewne wnuki i wnuczki, prowadziły osoby w podeszłym wieku, które miały problemy z poruszaniem się. Ludzie chętnie rozmawiali i byli pełni nadziei na zmiany ustrojowe. Wiele osób obawiało się, czy wybory będą uczciwe. Na pewno te wybory w 1989 roku były „pospoli-



tym ruszeniem” i dzięki temu doszło do zmiany ustrojowej w Polsce. Nasz komitet obywatelski nie tylko nadzorował przebieg wyborów, ale również miał za zadanie przekazać ostateczne wyniki głosowania do centrali „Solidarności” w Krakowie. Rola komitetów wyborczych była wtedy kluczowa, wybory przebiegły spokojnie, a ten sposób nadzorowania komisji wyborczych wydaje mi się potrzebny nawet obecnie.

ELŻBIETA PYZA

Jak to było 4 czerwca. Krótkie wspomnienie wyborcze

Pracowałam w jednej z lokalnych komisji wyborczych w Warszawie, nawet nie jako członek komisji, ale tzw. mąż zaufania (dziś powiedzielibyśmy „żona zaufania”, ale nie brzmi to dobrze...) jednego z kandydatów. Wspomnienia – nawet z ulic po drodze: te plakaty! Oczywiście te „główne” – z Lechem Wałęsą ściskającym prawicę kandydata, ale też te ulubione – z Garrym Cooperem z *W samo południe*. Przed punktami wyborczymi grupki „instruktorów” z Komitetu Obywatelskiego – jak głosować (na „naszych”, resztę skreślać). W komisji spokojnie. Wielu

głosujących z demonstrowanym długopisem (do skreślania). No i wieczorem liczenie, długie i skomplikowane. Pamiętam z dumą, że na końcu powiedziałam, że ja jako fizyk zawsze sprawdzam – więc domagam się powtórnego przeliczenia. I wykryłam parę ‘pomyłek’ w ‘nie naszej stronie’. Było też sporo kłopotów z oceną skreśleń – ludzie skreślali np. całą listę krajową – ale czasem kreska ‘na krzyż’ z trudem sięgała całości, więc w końcu było trochę takich ‘z niedokreszek’. Pamiętam tę euforię przy powrocie do domu – widać było, że to ‘landslide’.

HELENA BIAŁKOWSKA

Coś idzie...

Były to pierwsze wybory, w których mogłam głosować i głosowałam – chociaż w głowie miałam zgoła co innego niż politykę. Poszłam i zagłosowałam, jak Rodzice mówili. Oczywiście ogólna sytuacja była jasna, wychowywałam się, stojąc w kolejkach, stan wojenny wprowadzono, jak byliśmy w 8 klasie – pamiętam zawieszane lekcje, później długie miesiące nieobecności niektó-

rych internowanych ojców koleżanek czy kolegów z klasy. Przed stanem wojennym wychowawczyni mówiła nam, żeby zgłosili się uczniowie, których oboje rodzice będą strajkowali w zakładach pracy – szkoła miała zapewnić całodobową opiekę, gdyby te dzieci miały zostać same w domu. Była więc nadzieja, że coś się zmieni – nie bardzo miałam pojęcia co, ale czuło się, że coś idzie...

ANNA MICHALEWICZ

Magia wyborów czerwcowych

Czerwcowe wybory przed laty mocno utkwiły mi w pamięci. Najpierw myślę o wyborach do rad narodowych, zorganizowanych 19 czerwca 1988, do bojkotu których wezwała Tymczasowa Komisja Koordynacyjna Solidarności. Odbywałem wtedy służbę wojskową w batalionie inżynieryjno-budowlanym w Olsztynie i z trudem radziłem sobie z presją wywieraną przez oficera politycznego jednostki zdecydowanie namawiającego mnie do udziału w tych fasadowych wyborach. Nie głosowałem jako jedyny żołnierz w całej jednostce, a mimo to żadna krzywdą mi się nie stała¹. Nie mogłem wtedy przypuszczać, że niecały rok później, 4 czerwca 1989 z entuzjazmem będę uczestniczył w kolejnych wyborach, zachęcając do tego innych.

Po wyjściu z wojska jesienią podjąłem pracę w Instytucie Fizyki UJ, obserwując nadchodzące zmiany, których zwiastunem była debata Alfreda Miodowicza i Lecha Wałęsy, transmitowana w telewizji na żywo w dniu 30 listopada 1988. Dla mego pokolenia, osób ukształtowanych w latach 1980–1981 poprzez działalność w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, a następnie przez dramatyczny okres stanu wojennego, szybko postępujące wydarzenia zimy i wiosny 1989 były czymś zupełnie niewyobrażalnym. Cytując Poetę:

*O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju [...]
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.*

W dniu 6 lutego 1989 w Warszawie rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu pomiędzy stroną rządową i przedstawicielami „S”. Podczas obchodów rocznicy rejestracji NZS 17 lutego w Krakowie interweniowała milicja, a tydzień później oddział ZOMO armatkami wodnymi i gazem łzawiącym pacyfikował kolejną manifestację studentów, domagających się ponownej legalizacji Zrzeszenia.

W takiej gorącej atmosferze samorzutnie odradzało się życie społeczne kraju, a organizacje rozwiązane w stanie wojennym decydowały się na powrót do jawnej działalności. W marcu uczestniczyłem w pierwszym od 8 lat jawnym zebraniu członków NSZZ „S” UJ, które w gmachu Wydziału Chemii poprowadził prof. Ryszard Łużny, znany ze swej działalności w Związku przed stanem wojennym. Ponowny akces do „S” zgłosiło ponad 1150 pracowników uczelni, w tym 230 z Wydziału Matematyki i Fizyki, a ja podjąłem się opracować złożone deklaracje, tworząc na komputerze domowym pierwszą bazę danych odnowionego Związku.

Od zakończenia obrad Okrągłego Stołu w dniu 6 kwietnia, podczas których podjęto decyzję o organizacji 4 czerwca pierwszych częściowo wolnych wyborów do Sejmu, całą Polskę ogar-

nęła prawdziwa gorączka. W dniu 17 kwietnia Sąd w Warszawie ponownie zalegalizował „S”, która w dniu 1 maja organizowała pierwsze od ośmiu lat legalne manifestacje. Praca wykonana przez stronę społeczną w czasie niecałych dwóch miesięcy była imponująca. Jej kandydaci do Sejmu i Senatu, przedstawieni na fotografiach z Lechem Wałęsą, stali się powszechnie znani. Cały kraj dosłownie żył wyborami. W noc przedwyborczą młodzież współpracująca z Komitetem Obywatelskim w Krakowie oplakatowała całe miasto.

Choć spodziewaliśmy się niezłych rezultatów, wyniki wyborów 4 czerwca – zdobycie w Senacie 99 mandatów na 100 oraz kompletu 35% mandatów w Sejmie, które były do zdobycia, a także skreślenie kandydatów rządowych z listy krajowej – przekroczyły najśmielsze oczekiwania. Oszołomieni nieoczekiwanymi sukcesami odnieśliśmy nieodparte wrażenie, że nagle, z dnia na dzień, wszystko już się dokonało: kraj wyzwala się z odgórnie narzucanego komunizmu, system polityczny się zmienia, a więc po paru latach Polska dołączy do wolnego świata. Z takim to naiwnym przekonaniem patrzyłem z większym dystansem na kolejne wydarzenia polityczne, nie angażując się mocniej w bieżącą działalność. Przez jedną kadencję pełniłem jeszcze funkcję przewodniczącego oddziału „S” na Wydziale Matematyki i Fizyki UJ, lecz później skoncentrowałem się na pracy naukowej.

Patrząc na wydarzenia pamiętnej wiosny 1989 z perspektywy trzydziestolecia można się zżymać, iż dwie partie wywodzące się z zwycięskiego ruchu „Solidarność” zmonopolizowały życie polityczne kraju, i zamiast pracować ku pożytkowi ogółu mają na uwadze jedynie dobro własnej partii i ograniczają się do bieżącej walki z przeciwnikiem. Społeczeństwo zostało podzielone głębokim rowem, w którym zaległy nieliczne grupki osób zwanych „symetrykami”, a ich działania, narażone na ciągły ogień z obu stron, są mało skuteczne.

Z drugiej strony wystarczy pojechać na tygodniowe wakacje do ościennego kraju na Wschodzie, aby po powrocie przez porównanie z satysfakcją docenić, jak wielki postęp dokonał się w Polsce. Przez 30 lat staliśmy się w miarę zamożnym i stabilnym krajem, w którym po prostu żyje się lepiej. Znacznie łatwiej jest też pracować naukowo w bezpośrednim kontakcie z nauką światową, ciesząc się z coraz liczniejszego grona badaczy z zagranicy, chcących pracować w Polsce. Choć nie wszystko potoczyło się tak, jak to sobie wtedy wyobrażaliśmy, mamy liczne powody, aby czuć dumę z osiągnięć minionego trzydziestolecia. Dlatego z satysfakcją przyjąłem zaproszenie na biało-czerwone spotkanie towarzyskie, aby mimo różnych poglądów na sprawy bieżące, w dniu 4 czerwca 2019 móc wspólnie świętować okrągłą rocznicę ówczesnego wyborczego sukcesu.

KAROL ŻYCZKOWSKI

¹ Karol Życzkowski, *Notatki szeregowca*, Universitas, Kraków 1990; 2. Wyd. 1998.

4 czerwca 1989 – trzydzieści lat później

Mniej więcej osiem lat wcześniej dostałem prestiżowe – jakby na to nie patrzeć – zaproszenie do CERN-u. Jako tak zwany „unpaid scientific associate” miałem od wiosny 1982 zajmować się teorią cząstek elementarnych w Europejskim Ośrodku Badań Jądrowych (Organisation Européenne pour la Recherche Nucléaire), umiejscowionym pod Genewą, po obu stronach granicy szwajcarsko-francuskiej. Niczym Mekka i Medyna dla muzułmanów, dwa rywalizujące ze sobą święte miejsca islamu, tak dla fizyków związanych z cząstkami elementarnymi i oddziaływaniami podstawowymi dwoma takimi superośrodkami były właśnie CERN oraz położony po drugiej stronie Atlantyku BNL – Brookhaven National Laboratory. CERN miał jednak tę przewagę, że w przeciwieństwie do BNL, posiadał afiliację paneuropejską, jako wspólne przedsięwzięcie kilkunastu krajów europejskich leżących po lepszej stronie żelaznej kurtyny. Tu zresztą ta kurtyna była raczej kotarą, chętnie się uchylającą dla przybyszów ze Wschodu – o ile tylko nie napotkali betonowego płotu po swojej stronie. Szczęśliwie PRL-Polska, mająca mimo wszystko status najweselszego baraku w obozie socjalistycznym, miała od samego początku bardzo dobre kontakty naukowe z CERN-em, do czego zresztą przyczynił się bardzo dobry poziom naukowy ówczesnej polskiej fizyki. Swoje znaczenie miał również fakt, że dyrektorem CERN-owskiego Departamentu Fizyki Teoretycznej był wybitny francuski fizyk, profesor Collège de France, Jacques Prentki. Onże, aczkolwiek we Francji zrodzony (1920), to jako Jacek Prentki studiował fizykę na podziemnym Uniwersytecie Warszawskim u profesora Leopolda Sosnowskiego, a potem – już po wojnie, do 1947 roku, gdy jako obywatel francuski wyjechał szczęśliwie do Francji – był asystentem na Uniwersytecie Lubelskim i Uniwersytecie Warszawskim. Taki banalny polski los. Jeszcze później, w roku 2005, Jacek Prentki został członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Umiejętności.

Miał to być powtórny pobyt w CERN-ie, gdzie byłem przez miesiąc rok wcześniej. Tym razem miałem pojechać na trzy miesiące, na zaproszenia Rolfa Hagedorna, który otworzył nowe okno widokowe na świat cząstek elementarnych. Ale to już zupełnie inna historia. Poza beneficjami naukowymi swoją wagę finansową miał też wtedy status owego „unpaid scientific associate”. Owa „niepłatność” oznaczała dla przybyszów z Europy Wschodniej uposażenie daleko wykraczające poza socjalistyczną zgrzebność, gdzie jako młody docent zarabiałem na macierzystej uczelni miesięcznie równowartość ok. 30 czar-norynkowych dolarów.

W Polsce trwał podówczas okres zwany później karnawalem „Solidarności”, a ja tkwiłem w środku tego wiru jako przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Wrocławskiego. Do roku 1980 nie przejawiałem żadnego specjalnego zaangażowania w formalne sprawy organizacyjne. Bezpartyjny, bez-związkowy, okazjonalny czytelnik Biuletynu Informacyjnego KSS „KOR”, paryskiej „Kultury” i pojawiających się samizdatów. Wykazywałem niejaki skłonności organizacyjne, ale wyłącznie na polu naukowym i akademickim. Bywałem współorganizatorem znanych Szkół Zimowych

Fizyki Teoretycznej w Karpaczu, organizowanych przez Instytut Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Szkoły te, podobnie jak o rok starsze Letnie Szkoły Fizyki w Zakopanem, organizowane przez Uniwersytet Jagielloński, stały się miejscem spotkań wielu wybitnych fizyków, łącznie z ówczesnymi i późniejszymi noblistami ze Wschodu i Zachodu. Polska była rzeczywiście najweselszym barakiem obozu.

Gdy sierpień 1980 stawał się Polskim Sierpniem, na uniwersytecie rozpoczęły się spontaniczne dyskusje – co z tego wyjdzie, co się wyłoni, co my mamy do zrobienia. Było jasne, że dzieje się coś wyjątkowego, całkowicie wykraczającego poza dotychczasowe doświadczenia. Brałem udział w tych dyskusjach, instytutowych, potem wydziałowych, potem uczelnianych. Jakoś niespodziewanie dla samego siebie stałem się członkiem Uczelnianego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”, a po paru miesiącach, po rezygnacji przewodniczącego Komitetu, który wyjeżdżał na roczny pobyt naukowy do USA, zostałem przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Wrocławskiego. Było to jak wejście w inny, równoległy wszechświat, przewidywany zresztą przez niektórych fizyków. Inni ludzie, inne problemy, inna optyka, inne mechanizmy. Pod nieobecność mediów społecznościowych, internetu, sprawnej sieci telefonicznej – prawie wszystkie problemy dochodziły skroś bezpośredni kontakt, dzisiaj określany mianem F2F, czyli face to face, czyli twarzą w twarz. Było to jak skok do lodowatego, ale i orzeźwiającego strumienia.

Karnawał był krótki, ale intensywny. Skończył się gwałtownie 13 grudnia 1981. Jako przewodniczący strajku okupacyjnego na Uniwersytecie przeciw „dobrej zmianie” stanu wojennego trafiłem najpierw do ośrodków internowania – Nysa, Strzelin, Strzelce Opolskie, a potem na parę miesięcy do aresztu śledczego. I tak jakoś zeszło prawie do wiosny 1983, gdy na mocy zadeklarowanego gestu dobrej woli umundurowanych władz została ogłoszona amnestia, umarzająca m.in. postępowania w „strajkowych” sprawach.

Do CERN-u jednak nie pojechałem, chociaż – jak się potem dowiedziałem – na CERN-owskich korytarzach wisiły protestacyjne plakaty z nazwiskami i fotografiami polskich naukowców, jakoś demonstracyjnie nie lubianych przez ówczesne władze. Zresztą nie pojechałem podówczas nie tylko do CERN-u, ale nie pojechałem nigdzie. Miałem zakaz paszportowy, utrzymujący się do roku 1988, kiedy PZPR-owski socjalizm dostał już zadyszki. Rozpoczęły się przymiarki do Okrągłego Stołu, zaczęto przebąkiwać o reaktywacji „Solidarności”, a ja w okolicach marca 1989 pojechałem wreszcie na ten mój opóźniony wyjazd w cernowski Departament Fizyki Teoretycznej.

Do kraju wróciłem w przeddzień wyborów, 3 czerwca. Na drugi dzień były wybory. 12 września Tadeusz Mazowiecki wygłosił w Sejmie swoje exposé. 28 października w głównym wydaniu Dziennika TVP młoda aktorka, Joanna Szczepkowska, powiedziała: Proszę państwa, 4 czerwca 1989 skończył się w Polsce komunizm.

I tak trzymać!

LUDWIK TURKO

O tym, jak trudno przewidywać w polityce

Przed wyborami przedstawiciele rządzącej partii wyglądali na pewnych zwycięstwa. O ile dobrze pamiętam, Leszek Miller, ówczesny sekretarz KC PZPR, zapowiadał w TV sukces swojej partii. Trudno powiedzieć, czy było to rzeczywiste przekonanie, czy dobra mina do złej gry. Po wyborach niektórzy kandydaci do parlamentu ze strony rządowej (formalnie startowali z ramienia Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego) byli zdziwieni tym, że przegrali. Jeden z moich znajomych kandydował do Senatu i potem żalił się, że przecież prezentował dobry program wyborczy, a nie został wybrany. Powiedziałem mu, że wystarczającą legitymacją programową była wspólna fotografia z Wałęsą, a skoro jej nie miał, niech nie narzeka. To jednak było wiadome ex post, ponieważ nikt (ani władze, ani opozycja) nie oczekiwał (podaję wyniki ostateczne, tj. po drugiej turze) obsadzenia wszystkich możliwych mandatów w Sejmie (161, tj. 35%) i 99 (na 100) w Senacie przez kandydatów rekomendowanych przez Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Padła prawie cała lista krajowa przygotowana przez PRON – tylko 2 osoby na 35 kandydatów uzyskały wystarczającą liczbę głosów. Dwa tygodnie później odbyła się II tura przy niskiej frekwencji (25%, w pierwszej turze głosowało 62% uprawnionych). Nasze komentarze były proste: „Myśmy już wybrali, teraz to ich wewnętrzna sprawa”. Ordynacja wyborcza uniemożliwiała bierne prawo wyborcze tym kandydatom, którzy odpadli w I turze. To znaczyło, że „oni” wystawili w II turze drugi garnitur polityczny.

Wynik wyborów postawił pytanie „Co dalej?”. Koncepcja przedwyborcza, czyli kompromis zawarty przez obie strony przy Okrągłym Stole, polegała na tym, że koalicja PZPR, SD i ZSL będzie miała większość ustawodawczą na pewno w Sejmie (kwestia układu sił w Senacie pozostawała otwarta), natomiast posłowie opozycyjni (35% całego składu Izby) stanowili swoisty wentyl bezpieczeństwa, umożliwiając efektywne weto wobec przynajmniej niektórych projektów ustaw. Miało to zapewnić stabilność całego kompromisu. Ten plan jednak runął. Interesującym faktem, zapewne niezbyt znanym, było spotkanie na UJ ze Zbigniewem Brzezińskim, odbyte na przełomie czerwca i lipca. Nie był już wprawdzie czynnym politykiem, ale wiedział chyba wszystko, co można było wiedzieć na temat okoliczności towarzyszących polskiej elekcji z 4 i 18 czerwca 1989 r. Z oczywistych powodów był bardzo zainteresowany tym, co dzieje się w jego ojczystym kraju. Zapytany, jak widzi (przewiduje) przyszłość, powiedział, że teraz Polskę czeka długi i trudny

okres koegzystencji z komunistami. Nie była to nadmiernie optymistyczna prognoza i nie wykluczała przyszłego regresu w stosunku do wyborczego sukcesu. Brzeziński nie ukrywał, że wiele będzie zależało od sytuacji międzynarodowej, którą chyba uważał za względnie stabilną.

Chociaż prognozy Brzezińskiego były racjonalne, okazały się nietrafione. 3 lipca 1989 r. „Gazeta Wyborcza” opublikowała artykuł Adama Michnika *Wasz prezydent, nasz premier*, proponujący utworzenie rządu autoryzowanego przez opozycję we współpracy z reformatorem skrzydłem PZPR. Koncept ten był kontrowersyjny w obozie solidarnościowym – Karol Modzelewski replikował 3 dni później tekstem (też w „Gazecie Wyborczej”) *Nie róbmy rządu, nie idźmy stąd*. Lech Wałęsa nie zgodził się na współpracę z PZPR i ostatecznie zawarł porozumienie z liderami SD i ZSL. To, że wynik wyborów wykluczył sporą część pierwszego garnituru dotychczasowej władzy z bezpośredniej aktywności politycznej, miało zapewne wpływ na rozwój całej sytuacji. Jeśli tak rzeczywiście było, to zasady elekcji czerwcowej, w założeniu mające utrzymać dominację PZPR i jej satelitów, spowodowały skutek zgoła przeciwny. Warto o tym pamiętać w obliczu stwierdzeń, że w 1989 r. komuniści podzielili się władzą ze swoimi agentami.

24 sierpnia 1989 r. Tadeusz Mazowiecki został powołany przez Sejm na stanowisko premiera (Wojciech Jaruzelski został wcześniej prezydentem), a we wrześniu ukonstytuował się rząd, o którym można było powiedzieć, że nie był komunistyczny. Rozpoczęła się Jesień Ludów, której Brzeziński nie przewidywał. Pokazuje to problematyczność prognoz społecznych, nawet dokonywanych przez osoby dysponujące wyjątkowo obszernymi danymi. Warto te zdarzenia przypominać, chociażby z uwagi na popularną opinię, że nowa epoka polityczna zaczęła się od zjednoczenia Niemiec w 1990 r. Pytanie, czy możliwa była unifikacja naszego zachodniego sąsiada bez tego, co działo się w Polsce od czerwca do września 1989 r., jest kontrfaktyczne i niesprawdzalne jako takie. Nie ma jednak wątpliwości, że Jesień Ludów rozpoczęła się nad Wisłą. Na początku lipca 1989 r. byłem z prywatną wizytą w ZSRR. Jadąc pociągiem z Moskwy do Leningradu, miałem interesującą dyskusję z kilkoma przygodnie spotkanymi Rosjanami. Ich zdania na temat czerwcowych wyborów w Polsce były podzielone, ale jeden z nich powiedział: „Nada diełat, kak w Polsce, jeśli choziemy izmienit chto nibut” (Trzeba robić tak, jak w Polsce, jeśli chcemy coś zmienić). Po chwili inni zgodzili się z tym.

JAN WOLEŃSKI

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzozkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.



Kraków

Kraków – warto wiedzieć

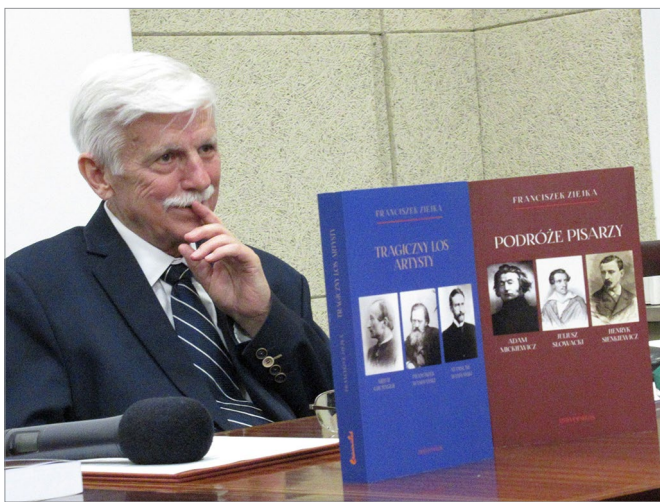
Podróże pisarzy, losy artystów

Profesor Franciszek Ziejka – historyk literatury i kultury polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, rektor (a wcześniej prorektor) UJ w latach 1999–2005, autor wielu uniwersyteckich inicjatyw, przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich w latach 2002–2005, członek

(1995), Miasto poetów (2005), Moja Portugalia (2008), Mistrzowie słowa i czynu (2011), Polska poetów i malarzy (2011), Jan Paweł II i polski świat akademicki (2014), W drodze do sławy (2015). Teraz w połowie 2019 roku w Muzeum Narodowym odbyła się promocja jego dwóch nowych książek: *Podróże pisarzy* oraz *Tragiczny los artysty* (Wydawnictwo Universitas).

– „Od dziewięciu lat jestem na emeryturze – mówił Franciszek Ziejka. Ten czas można różnie wykorzystać. Ja postanowiłem nadal pisać”. W książce *Podróże pisarzy* Autor przywołuje mało znane, lub w ogóle nieznane, epizody z życia poetów i pisarzy żyjących w epoce narodowej niewoli. Rekonstruuje zatem sławne podróże Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego na Wschód, pisze o wielokrotnych powrotach Henryka Sienkiewicza do Krakowa, a także – o tajemnicach pierwszej wizyty w tym mieście Stefana Żeromskiego. Są tu teksty o podróżach autora *Trylogii* do Paryża oraz o związkach z tym miastem Ferdynanda Hoesicka. Czytelnik pozna tajemnice biografii pochodzącego z Tarnowa Józefa Szujskiego, pierwszego profesora historii Polski na Uniwersytecie Jagiellońskim, podobnie jak i mało znane fakty z życia Włodzimierza Tetmajera, malarza i poety. W pracy *Tragiczny los artysty* Autor przedstawia losy trzech artystów: Artura Grottgera, Franciszka Wyspiańskiego i jego syna – Stanisława. Artur Grottger zmarł w wieku 30 lat, a Stanisław Wyspiański mając lat 38. Ojciec autora *Wesela*, Franciszek Wyspiański, przeżył wprawdzie 65 lat, ale przestał tworzyć w wieku lat 40. Dramat tych twórców przypomina setki innych „wybrańców bożych”, od niepamiętnych wieków zabieranych z tego świata w wieku młodzieńczym. Historie trzydziestu z nich przywołano w obszernej rozprawie wstępnej. – „Może ktoś napisze kiedyś książkę o tym jak wyglądałby rozwój naszej kultury, gdyby wspomniani artyści mieli szansę dłużej tworzyć” – mówił Autor. W czasie spotkania prof. Franciszek Ziejka został odznaczony Złotym Medalem Gloria Artis.

Fot. Marian Nowy



Profesor Franciszek Ziejka i jego nowe książki

czynny Polskiej Akademii Umiejętności, przewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Wykładał dzieje literatury i kultury polskiej, także w uniwersytetach francuskich i portugalskich. Pamiętamy jego książki, takie jak: „Wesele” w kręgu mitów polskich (1977), Złota legenda chłopów polskich (1984), Paryż młodopolski (1993), Nasza rodzina w Europie

Czemu służy sztuka?

Kawiarnia Naukowa Polskiej Akademii Umiejętności zaprasza na kolejne spotkanie. Dr Maria Anna Potocka przedstawi wykład *Czemu służy sztuka? Spotkanie odbędzie się 10 czerwca br. (poniedziałek) o godz. 18.15 w Dużej Auli PAU przy ul. Sławkowskiej 17 w Krakowie. Wstęp wolny – zapraszamy!*

Maria Anna Potocka jest filozofem sztuki, dyrektorem Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOC AK. Założycielka czterech galerii autorskich (1972–2010), twórczyni międzynarodowej kolekcji sztuki (1973–2010, przekazanej do MOC AK-u), kurator wielu wystaw. Członkini IKG, AICA, ICOM, SPP, redaktor magazynu artystyczno-filozoficznego „Tumul” (1990–1994). Autorka książek: *Malarstwo* (1995), *Rzeźba* (2002), *Estetyka kontra sztuka* (2007), *To tylko sztuka* (2008), *Fotografia* (2010), *Wypadek polityczny* (2010), *Nowa estetyka* (2016); w przygotowaniu: *150 malarstwa polskiego* (2019).

Ideę pracy *Estetyka kontra sztuka* znakomicie ilustruje jej podtytuł, który stwierdza jednoznacznie: *Kompromitacja założeń estetycznych w konfrontacji ze sztuką nowoczesną*.

Wydawca – Fundacja Aletheia – przyznaje, iż większa część tej pracy poświęcona jest zmaganiom z poglądami tradycyjnymi, mimo że z punktu widzenia sztuki nowoczesnej są one mniej interesujące niż nowoczesne teorie estetyczne. Wynika to z faktu, że teorie tradycyjne dominują w programach edukacyjnych i na nich opiera się intuicyjne podejście odbiorcy do sztuki nowoczesnej. Lansowanie tych poglądów odbija się negatywnie na społecznym funkcjonowaniu sztuki. Przez nie trudniej pozyskać i wychować widzów, z ich powodów boją się sztuki sponsorzy, a urzędnicy odnoszą się do niej lekce-



Dr Maria Anna Potocka

ważąco. Przeniknięcie świata fałszywymi niechęciami estetycznymi powoduje, że sztukę nowoczesną nieustannie wciąga się do walki, mimo że już dawno wypadły jej kły i pazury awangardy.

Fot. MOC AK